

# Siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę



ANNA MACHCEWICZ

## Siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę\*

11 sierpnia 1951 r. prasa donosiła: „tysiące młodych bojowników o pokój napływają bez przerwy do Berlina, „ludy świata przyjęły z gorącym uznaniem propozycje radzieckie w prawie pokoju”. W „Głosie Wybrzeża” szczególnie bije w oczy tytuł: „Bagno moralne zdrajców ojczyzny – o procesie Tatara, Utnika, Nowickiego, Mossora i innych przed Sądem w Warszawie” („Głos Wybrzeża”, 11 VIII 1951). W gdańskich kinach grali: *Wesołe kumoszki z Windsoru*, *Złoto jeziora*, *Rodzinę Sonnenbrucków*, *Było to w maju*, *Wesołe zawody*.

To była sobota, 11 sierpnia. Mimo upływu 60 lat Stefania Hewelt wyraźnie zapamiętała szczegóły. „Późnym wieczorem do drzwi zastukało dwóch młodych i całkiem elegancko ubranych panów. Gdy o mnie zapytali, ciocia, u której mieszkałam, bardzo gościnna osoba, w pierwszej chwili poczęstowała ich pierożkami i piwem, bo pomyślała, że to jacyś moi znajomi. Zjedli, wypili i podali mi pismo do pokwitowania. Patrząc, a tu Urząd Bezpieczeństwa – nakaz aresztowania” (Relacja Stefanii Hewelt z d. Cesarz). Zaczęła się rewizja. W ciszy przetrząsnęli wszystkie osobiste rzeczy domowników i w jednej z szuflad znaleźli całą teczkę dokumentów. Ucieszyli się, bo myśleli, że to coś ważnego, a to były rachunki, które zbierała jako skarbniczka w ZMP. Oprócz papierów było tam jeszcze trochę pieniędzy ze składek. Potem cała suma znalazła się w jej więziennym depozycie. Gdy skończyli, zapadł już zmierzch, wyszli na opustoszałą ulicę, gdyż rodzice na wszelki wypadek zawołali zwykle biegające do późna dzieci i zamknęli się na cztery spusty w domach. Ponieważ był środek lata, Stefania narzuciła na siebie żakiecik, nawet nie włożyła pończoch, sądziła bowiem, że zaraz wróci do domu. Na sąsiedniej ul. Legionów stał czarny samochód. Wsiedli i pojechali na ul. Okopową, gdzie mieściła się siedziba gdańskiego UB.

Stefania Cesarz przyjechała do Trójmiasta spod Krosna w 1948 r., zaraz po maturze, namówiona przez stryja, który tuż po wojnie osiedlił się z rodziną na Wybrzeżu. Morze przyciągało ludzi, jej starszy brat Władysław przybył tam nieco wcześniej, ukończył kurs w szkole morskiej i w pierwszy rejs, jako chłopiec okrętowy, popłynął „Batorym” do Nowego Jorku. Potem statkiem „Waryński” odbył rejs do Ameryki Południowej, pływał do portów europejskich. Wracał za każdym razem, choć nie brakowało okazji, by pozostać w wolnym świecie. Stefania pamięta, że już podczas pierwszego rejsu kilku marynarzy pozostało w Nowym Jorku. Po tym powrotnym rejsie brat na skutek ciężkiej pracy fizycznej w zmniejszonym składzie długo leczył nadwyrężone zdrowie. Pod koniec 1950 r. jako żołnierz z poboru trafił do jednostki Marynarki Wojennej w Kołobrzegu. Przez kilka miesięcy ich kontakty ograniczały się do sporadycznych listów, spotkać się mieli w sierpniu, podczas pobytu w Gdyni.

Tak wspomina tamte lata:

*Gdy brat był w domu, razem chodziliśmy na tańce, do restauracji. Trójmiasto było wesołe. Byłam młoda, cieszyłam się życiem, chodziłyśmy z koleżankami do kina, ciągle jeździłyśmy a to do Gdyni, a to do Sopotu. Owszem pracy było dużo, czasami wracało się z niej późnym wieczorem, a potem z humorem wracało do domu. Nic mnie nie obchodziła ta cała ideologia komunistyczna. Mój ojciec był socjalistą, ale do PZPR już się nie zapisał. Chodziło się na te zebrania ZMP, wszystkich nas tam zapisywali, wysłuchiwało tych głupot, ale nic mnie to nie obchodziło. Jakoś człowiek się z tym godził. O więzieniach nic nie wiedziałam, kto tam siedzi i za co. A tu nagle zaprowadzono mnie do celi. Do tej pory poznaję to okno – na trzecim piętrze. Siedziałam tam całkiem sama i nie wiedziałam za co. (Relacja Stefanii Hewelt)*

Podczas rewizji udało się jej ocalić jedynie mały metalowy grzebyk. Nie pozwoliła go sobie odebrać, tłumacząc, że jakoś musi dbać o fryzurę. Argument, o dziwo, podziałał. Przez kolejne miesiące grzebień był jedyną osobistą rzeczą, jaką posiadała. Nie otrzymywała żadnych listów ani paczek, nie przyznawano jej widzeń, ponieważ nikt z bliskich nie wiedział, gdzie przebywa. Z pieniędzy ZMP, które powędrowały do więziennego depozytu, kupowała sobie w więziennej kantynie cebulę i ceres.

Nie miała rzecz jasna pojęcia, że tego samego dnia do aresztów w całej Polsce trafiło jeszcze piętnaście innych osób, członków ośmiu rodzin, które nie spotkały się nigdy wcześniej. Nie byłoby to niczym zdumiewającym, gdyż w latach stalinowskich w wielu procesach toczących się pod sfingowanymi zarzutami łączono przypadkowych, nieznanących się dotąd ludzi. W tej sprawie niezwykle było to, że ponieśli oni odpowiedzialność za czyny swoich synów i braci, których władza nie mogła osiągnąć i ukarać. Wspólny los był dziełem przypadku – dziesięć dni wcześniej grupa jedenastu marynarzy poprosiła o azyl polityczny w szwedzkim porcie Ystad. Decyzja o aresztowaniach zapadła na wniosek MBP, ponieważ „zachodziło podejrzenie, iż rodziny najbliższe były o powyższym poinformowane listownie bądź w czasie urlopów poszczególnych marynarzy (AAN, sygn. 230, k. 10).

Marynarze byli członkami załogi okrętu polskiej Marynarki Wojennej „Żuraw”, który wyruszył z portu w Kołobrzegu 1 sierpnia 1951 r. i miał popłynąć do

Gdyni. Dowodził nim ppor. Arkadiusz Ignatowicz, w służbie od 1925 r. Na pokładzie znajdował się też szef Wydziału Pomiarów Szefostwa Hydrografii kmdr por. Jerzy Iwanow, doświadczony hydrograf, także należący do przedwojennego pokolenia. W rejs wypłynął jeszcze jeden oficer, do spraw politycznych, zaledwie 25-letni absolwent Szkoły Morskiej Zygmunt Bogumił, zaokrętowany 1 sierpnia. Dramat, którego aktorami stało się wielu ludzi, zaczął się na wysokości latarni morskiej Gąski. Kilku zbuntowanych marynarzy zamknęło pod strażą oficerów i podoficerów i zmieniło kurs statku na północny, kierując go w stronę Szwecji. Następnego dnia o świcie „Żuraw” zawinął do Ystad. Część marynarzy poprosiła o azyl. Ostatecznie na ląd zeszło jedenastu spośród 30-osobowej załogi. Okręt powrócił do portu w Oksywiu 3 sierpnia 1951 r. Po kilku dniach aresztowano trzech oficerów i dziewięciu podoficerów oraz marynarzy. Wszystkich poddano brutalnym przesłuchaniom w areszcie Informacji Wojskowej, które trwały do 15 sierpnia, po czym aresztowanych przeniesiono do gdańskiego aresztu śledczego przy ul. Kurkowej. Proces, któremu ku przestrodze przysłuchiwało się kilkuset żołnierzy Marynarki Wojennej, odbył się 1 września. Oficerów sądzono osobno, określono ich jako „zdrajców ojczyzny”. Nie brano pod uwagę faktu, że dowództwo przyprowadziło okręt do kraju, chroniąc go przed internowaniem, oraz przekonało kilku marynarzy, by wrócili do kraju. Komandor ppor. Iwanow i ppor. Ignatowicz zostali skazani na 15 lat pozbawienia wolności, degradację i pozbawienie praw obywatelskich na 5 lat, ppor. Bogumił na 12 lat więzienia. Podoficerów i marynarzy skazano na kary od 5 do 10 lat pozbawienia wolności. Zbiegłych marynarzy skazano zaocznie na karę śmierci (Semków 2006; Czerwiński 1989). Ani o aresztowaniach, ani o procesie Stefania Cesarz wiedzieć nie mogła. O tym, że wśród uciekinierów był jej brat, dowiedziała się po wielu dniach przesłuchań w gdańskim Urzędzie Bezpieczeństwa.

Dokumenty sprawy przeciwko członkom rodzin marynarzy zbiegłych za granicę z okrętu „Żuraw” znajdują się w zbiorze Komisji Specjalnej do Spraw Walki z Nadużyciami Gospodarczymi i Sabotażem. To dziwne umiejscowienie z uwagi na rodzaj oskarżenia stopniowo wyjaśnia lektura zgromadzonych tam dokumentów.

Drobiazgowa rewizja u Stefanii Cesarz nie dała jakiegokolwiek punktu zaczepienia. W czasie śledztwa pokazywano jej własne listy do koleżanek i kolegów i żądano wyjaśnień, kim byli adresaci. „Szukali w nich strasznych tajemnic, a to były jakieś młodzieńcze, czasami jeszcze szkolne przyjaźnie i miłości. I o tym rozmawiałam godzinami ze śledczymi przez chyba trzy tygodnie” (Relacja Stefanii Hewelt). Było ich trzech, ale tylko jeden z nich, starszy i gruboskórny, straszył Stefanię wysokim wyrokiem. Jego się obawiała. Dwaj młodsi sprawiali wrażenie nieco skrępowanych i mniej gorliwych.

„Winy” aresztowanych zostały opisane w informacji przygotowanej przez nadzorującego sprawę funkcjonariusza śledczego w Warszawie kpt. Krawczyńskiego. Brzmia dziś absurdalnie, niemal humorystycznie. Adam Szopa zaciągnął się ochotniczo do wojska w 1920 r., a następnie na własny koszt uczył się języka angielskiego. Marcin Barańczak, przed wojną policjant, „był organicznie związany z reżimem sanacyjnym Polski przedwrześniowej”, Józef Mokracki, „stryj jednego ze zbiegłych marynarzy, jest repatriantem w Wilna, gdzie w latach [19]32–38 miał sklep”, Mieczysław Sztylet „posiada krewnych za granicą”, a Bronisław Czaniecki służył w Armii Krajowej (AAN, sygn. 230, k.

1-6).

Atmosfera przesłuchań z całą pewnością nie wszędzie była taka, jaką zapamiętała Stefania Hewelt. Małżeństwo Marcina i Weroniki Czanieckich w podzywieckim Sporyszu aresztowano 12 sierpnia. Bronisław pracował na kolei, Weronika zajmowała się domem. Mieszkali samotnie, trzech synowie wyfrunęli już z domu, najmłodszy Jerzy aż na morze, toteż ich dom został zamknięty na cztery spusty. Inwentarz żywy oddano pod opiekę sąsiadom. W szczegółowym spisie pozostawionego dobytku znajduje się kilkaset pozycji, policzono pierzyny, kalosze, podkoszulki, sprzęt domowy i gospodarski. Drobiazgowa skrupulatność nakazuje przypuszczać, że procedura trwała bardzo długo. Nasuwa skojarzenie z rekwizycją.

W czasie śledztwa oboje zeznali, że z najmłodszym utrzymywali kontakt listowny, ale czasem bywał w domu i wtedy zawsze chwalił sobie służbę wojsku. Pewnego razu odwiedzili go w Gdyni, gdzie z dumą pokazywał im port i statki na nabrzeżu. Weronika wysyłała synowi co miesiąc 30 złotych, „by miał na piwo, gdy wyjdzie na miasto”. Syn otrzymane kwoty zawsze potwierdzał, ale ostatnio tego nie uczynił. Podczas jednego z przesłuchań Weronika Czaniecka zeznała:

*Moją ulubioną rozrywką poza pracą to było odwiedzić siostrę, położyć się na trawie, no i kiedy mąż był w domu, razem słuchaliśmy radia. Mąż lubił muzykę, ja natomiast lubiałam słuchać audycji dla wsi, czasem słuchałam procesów, jak były nadawane przez radio. Raz słuchałam radia i zaczęłam szukać coś bardziej interesującego, i uchwyciłam, jak mówili, że 16 polskich marynarzy uciekło, chciałam słuchać dalej, ale nastąpiły trzaski i wtedy zgasiłam. Kiedy usłyszałam „marynarze”, tknęło mnie, czy syna tam nie ma. Później zaraz się uspokoiliłam. Wiedziałam, że to zagraniczne radio, bo po co by mówili o „polskich” marynarzach. (AAN, sygn. 230, k. 14)*

Słuchanie zagranicznych stacji radiowych było przecież jednym z oczywistych „przestępstw” i można wątpić, by było to wyznanie dobrowolne.

Stefania Hewelt wspomina, że gdy dowiedziała się wreszcie od funkcjonariuszy UB o ucieczce brata, odzyskała spokój. Wcześniej nie rozumiała, na czym polega jej wina, teraz sądziła, że najdalej po trzech miesiącach odzyska wolność, na tyle bowiem opiewał nakaz aresztowania. Napisała, na żądanie śledczych, „siostrzany” list do brata. Oczywiście nie podała w nim, gdzie się znajduje, ale samo wysłanie go za granicę w takich okolicznościach musiało być dla Władysława Cesarza jasnym sygnałem aresztowania bliskich. Wbrew wcześniejszym rachubom Stefania nie została zwolniona, zamiast tego bez żadnego wyjaśnienia przewieziono ją z aresztu UB do gdańskiego więzienia przy ul. Kurkowej. Gdy wprowadzono ją do środka, na korytarzu zobaczyła stryja stojącego twarzą przy ścianie. Józef Cesarz był kolejną osobą z rodziny, którą zatrzymano i poddano przesłuchaniom, a potem przetrzymywano tygodniami, ponieważ utrzymywał częsty kontakt z bratankiem.

Równie zdezorientowani i zagubieni byli pozostali aresztowani. Halina Pierścionek (służbę na statku „Żuraw” pełnił jej brat Wojciech) znalazła się w areszcie tego samego dnia co Stefania Cesarz. Zapytana przez oficera

śledczego, co wie o ucieczce brata, odparła, że usłyszała o tym fakcie trzeciego dnia po aresztowaniu, gdy jeden z żołnierzy podających jej zupę zapytał, czy wie, „za co siedzi”. „Gdy odpowiedziałam, że nie wiem, wówczas tenże oświadczył mi, że siedzę za to, że mój brat uciekł za granicę” (AAN, sygn. 230, k. 52).

W podaniu do prezydenta Bolesława Bieruta napisanym 19 listopada 1951 r. mieszkanka Kurowa Agnieszka Jabłońska informowała: „Mój mąż Tomasz Jabłoński został zatrzymany 11 sierpnia br. Powodu zatrzymania ani ja, ani mój mąż nie znamy. Po poszukiwaniu męża dowiedziałam się od prokuratora w Lublinie, że został on zatrzymany w związku z dezercją z wojska i rzekomą ucieczką za granicę mego syna Wacława Jabłońskiego” (AAN, sygn. 230, k. 14).

Jeszcze dłużej w niepewności był utrzymywany kolejny aresztowany, Michał Pierścionek z Gliwic. Wyjaśnienia przyczyn aresztowania domagał się pół roku od chwili aresztowania. 19 lutego 1952 r. napisał do Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Katowicach: „Zwracam się z prośbą o wyjaśnienie mi powodu mego aresztowania, gdyż przez okres 6 miesięcy przebywania mego w więzieniu powód ten nie został mi przedstawiony. Nadmieniam, że przez okres 6 miesięcy od daty mego aresztowania żadnego śledztwa w stosunku do mnie nie prowadzono” (AAN, sygn. 230, k. 13).

22 lutego 1952 r. Bronisław Czaniecki napisał z więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie do Prokuratury Generalnej w Warszawie prośbę o zakończenie śledztwa prowadzonego przeciwko jego rodzinie. „Jak dowiedziałem się w czasie śledztwa, aresztowanie nastąpiło na skutek ucieczki za granicę syna mego Jerzego Czanieckiego oraz pod zarzutem, że ja wraz z rodziną namówiłem go do tego przestępstwa i udzieliłem mu nawet jakiejś w tym pomocy”. Sięgał do argumentów racjonalnych, zwracając uwagę, że syn swoje przestępstwo popełnił jako człowiek pełnoletni. I zapewne z myślą o ratowaniu pozostałych członków rodziny odżegnywał się od jego postępków, zauważając, że „już w młodym wieku wyłamywałem się stale spod opieki ojcowskiej i matczynej. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że do Marynarki Wojennej wciągnąłem się w tajemnicy przed rodziną, bez zgody i zapytania rodziców” (AAN, sygn. 230, k. 25).

W aktach sprawy znajdują się petycje, podpisane własnoręcznie, niekiedy z wyraźnym wysiłkiem, bo przez osoby nieprzyzwyczajone do pisania. Być może z braku jakiegokolwiek reakcji na swoje pismo pani Jabłońska dostała wsparcie sąsiadów, może sama się do nich odwołała, a może oni z własnej woli napisali pismo. W każdym razie był to z ich strony dowód odwagi i solidarności.

*My, niżej podpisani obywatele polscy i mieszkańcy osady i gminy Kurów powiatu puławskiego, świadomi odpowiedzialności prawnej z artykułu 140 Kodeksu karnego za fałszywe zeznania, stwierdzamy, że osobiście znany nam od dawna Tomasz Jabłoński, urodzony w 1897 roku, jest człowiekiem cieszącym się najlepszą opinią w swej gromadzie, dobrym sąsiadem, lojalnym względem państwa obywatelem. Oświadczenie to składamy z własnej woli w uznaniu nienagannego życia i postępowania obywatelskiego Tomasza Jabłońskiego dla przedstawienia do odnośnych władz. (AAN, sygn. 230, k. 15–21)*

List podpisało 137 osób, w tym ks. Stanisław Zawadzki, proboszcz miejscowej parafii. Zapewne poszukując w tym przyczyny aresztowania i dopatrując się pomyłki, sołtys gminy Kurów dopisał, że aresztowany wywiązał się z wszelkich obowiązkowych dostaw, i przybił urzędową pieczęć. Podobnej treści pismo złożyło jeszcze kilkudziesięciu mieszkańców Bochofnicy, rodzinnej wioski Jabłońskiego.

O kolejnego z aresztowanych, 60-letniego Marcina Barańczaka, upomnieli się pracownicy Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. W petycji do Bolesława Bieruta o jego zwolnienie ponad 100 osób zapewniało, że przed wojną jako posterunkowy „w kilkuletniej służbie swojej na tutejszym terenie nie uczynił nam nic złego, lecz był zawsze dobrze ustosunkowany do ludzi pracy”. Po wojnie został magazynierem, uczciwym i cenionym, i „nikt do niego nie ma z jakiegokolwiek tytułu pretensji” (AAN, sygn. 230, k. 52).

Nie ma żadnych śladów, by pisma te odegrały jakąkolwiek rolę w całej sprawie. Są jednak dokumentem świadczącym o ludzkiej solidarności.

Prawdopodobnie z uwagi na brak jakichkolwiek dowodów mimo przedłużającego się śledztwa w Departamencie Śledczym MBP w Warszawie zdecydowano o połączeniu spraw wszystkich rodzin (w sumie 16 osób) i przekazaniu ich nie do zwykłego sądu, lecz do rozpatrzenia przez Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Wniosek podpisał wiceprokurator Prokuratury Generalnej Władysław Dymant, język uzasadnienia jest typowy dla tych czasów. Wymienieni w oskarżeniu ludzie są „najbliższymi członkami zbiegłych za granicę dezertów i zdrajców. W ich środowisku wychowywali się dezertrzy. Ze względów prewencji ogólnej i szczególnej wniosek o wymierzenie kary obozu pracy jest całkiem uzasadniony” (AAN, sygn. 230, k. 6). Prokurator żądał kary od pół roku do 24 miesięcy. Komisja Specjalna pochyliła się nad sprawą rodzin marynarzy 10 marca 1952 r., a więc dopiero po siedmiu miesiącach od dnia aresztowania.

Orzeczenia Komisji wydane w sprawie rodzin marynarzy zajmują niespełna półtorej strony. Poza danymi personalnymi skazanych oraz określeniem wysokości kary zawierają identyczne i całkowicie arbitralne uzasadnienia, w których uznano, iż „skazani jako najbliżsi krewni zbiegłego za granicę marynarza zachowaniem swoim i wpływem w dużej mierze przyczynili się jego ucieczki, i że postępowanie skazanych stwarza niebezpieczeństwo popełnienia przestępstw godzących w żywotne interesy pracujących dla Polski Ludowej...” (AAN, sygn. 230, k. 25–32).

Sześć kobiet i dziesięciu mężczyzn skazano na kary zaproponowane przez prokuratora. Tylko niektórym wliczono do kary czas pobytu w areszcie. Dodatkową szykaną był zakaz pobytu w dotychczasowym miejscu zamieszkania na okres 5 lat od uzyskania wolności.

Stefania Hewelt wspomina, że o skazaniu na 12 miesięcy obozu pracy dowiedziała się dopiero po 11 miesiącach od dnia aresztowania. Tyle czasu przebywała na oddziale śledczym, bez żadnych informacji na temat swojego losu. „Pewnego dnia zostałam przeniesiona do celi, gdzie przebywały już więźniarki z wyrokami. Wtedy dopiero i mnie wręczono wyrok, który musiałam pokwitować. Liczył się od dnia aresztowania, pewnie dlatego nie pojechałam

już do obozu pracy” (Relacja Stefanii Hewelt). Uważa, że miała dużo szczęścia. Zgodnie z wyrokiem po wyjściu z więzienia obowiązywał ją jeszcze pięcioletni zakaz mieszkania na Wybrzeżu, ale gdy poszła do dawnej pracy, po prostu przyjęto ją z powrotem. Kierowniczka kadr uznała jednak, że należy Stefanię „schować” przed oczami władzy. Dostała niższe stanowisko, gorzej płatne, lecz uniknęła wysiedlenia.

Gdy nadeszła „odwilż”, jesienią 1956 r. Stefania Hewelt postanowiła wystąpić do sądu o rehabilitację za niesłuszne skazanie. Rozprawa odbyła się w Warszawie. Sąd uznał wyrok za niesłuszny i przyznał jej odszkodowanie. Dopiero przy tej okazji dowiedziała się, jak nieoczekiwanie jej życie zostało połączone z losami nieznanymi jej ludzi. „Spotkaliśmy na korytarzu jedną z rodzin sądzonych w tej samej sprawie – to był starsza pani z synem. Dla nich ta sprawa skończyła się dramatem, zabrano im gospodarstwo, jej w śledztwie wybito zęby, mąż zachorował w więzieniu na gruźlicę. Teraz był umierający i bardzo jej zależało, by został przed śmiercią zrehabilitowany” (Relacja Stefanii Hewelt). Stefania Helwelt nazwisk nie zapamiętała. Tyle lat minęło...

### **Przypisy:**

\* Na historię rodzin załogi „Żurawia” natrafiłam, przeglądając akta Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. W jednej z teczek zebrano protokoły przesłuchań aresztowanych, świadków i inne dokumenty dotyczące tejże sprawy. Odnalazłam występującą w aktach Stefanię Cesarz – napisałam do niej list z prośbą o kontakt i wysłałam go na adres widniejący w aktach. Okazało się, że nosi inne po mężu nazwisko, ale wciąż mieszka w tym samym mieszkaniu w Gdańsku-Wrzeszczu, skąd przed laty zabrało ją UB. Być może dlatego jej opowieść jest tak plastyczna. W chwili spotkania była już na emeryturze, do końca pracowała w Trójmieście jako urzędniczka. W latach 70. została ponownie aresztowana na skutek fałszywych podejrzeń o nadużycia finansowe i znalazła się na kilkanaście godzin w tym samym więzieniu przy ul. Kurkowej, gdzie spędziła kiedyś kilka miesięcy. Przeżyła szok, wróciły wszystkie złe wspomnienia. Z bratem spotkała się ponownie dopiero w latach 70. Usłyszała wtedy o szczegółach ucieczki. Okazało się, że brat wcale jej nie planował. Został postawiony przed faktem dokonanym, ale wybrał wolność.

### **Bibliografia:**

„Głos Wybrzeża”, 11 VIII 1951, s. 1.

Relacja Stefanii Hewelt z d. Cesarz, złożona w lipcu 2011 r., w zbiorach autorki.

Archiwum Akt Nowych, Zespół Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, sygn. 230.

Semków Piotr (2006), *Informacja Marynarki Wojennej w latach 1945–1957*, Warszawa.

Czerwiński Julian (1989), *ORP „Żuraw” – uprowadzenie czy... prowokacja?*, „Przegląd Morski”, nr 5.

Korekta językowa: Beata Bińko

# Dramat cieszyński



JOCHEN BÖHLER

## **Dramat cieszyński \***

Można by się spodziewać, że młode państwo, zaangażowane równocześnie w konflikty zbrojne na swoich wschodnich, północnych i zachodnich rubieżach, będzie się starało za wszelką cenę uniknąć sporu z kolejnym sąsiadem, ale pod koniec 1918 r. II Rzeczpospolita obrała inny kierunek. Od południa z Górnym Śląskiem graniczył region dawniej zwany Księstwem Cieszyńskim, w średniowieczu pod panowaniem polskich królów. W połowie XIV w. obszar ten przeszedł pod władanie czeskich monarchów, a potem Habsburgów. Do zawieszenia broni w 1918 r. Cieszyn – prowincjonalna stolica tego regionu – w dużej mierze uniknął potworności wojny, zagnieżdżony u podnóża Beskidów i nad przecinającą te obszary Olzą, będącą na północy dopływem Odry. Ludność tego sielskiego polsko-czeskiego pogranicza była mieszana. Statystycznie Czesi lokowali się w środku stawki: było ich z grubsza dwa razy mniej niż Polaków i dwa razy więcej niż Niemców (Przybylski 1932, 2).

Już podczas wojny Polacy i Czesi zgłosili roszczenia do tych obszarów – pierwsi wskazując na przewagę ludności polskojęzycznej, drudzy na historyczny charakter tych ziem, stanowiących własność korony czeskiej. Od połowy XIX w. polski i czeski nacjonalizm rodził się tam tak jak wszędzie. Między oboma obozami toczyły się zawzięte spory na tle kulturowym i oświatowym. Przed 1918 r. trudno jednak mówić o jakiegokolwiek przewadze narodowościowej wśród miejscowej ludności (Gąsior 2016, 17).



Aby ujrzeć tę kwestię z odpowiedniej perspektywy, należy stwierdzić, że zarówno dla Republiki Czechosłowackiej, jak i II Rzeczypospolitej najważniejsze było gospodarcze znaczenie Śląska Cieszyńskiego. Stanowił on średniej wielkości zagłębie przemysłu górniczego, połączone Odrą z Morzem Bałtyckim. Gdy upadły i Cesarstwo Niemieckie, i imperium Habsburgów, przed Polakami i Czechami otworzyła się nagle możliwość zdobycia tego cennego atutu. Czechosłowacja miała istotne powody, by przejąć te obszary, gdyż biegła tamtędy jedna z dwóch linii kolejowych łączących wschodnią i zachodnią część kraju. W wypadku Polaków sprawa Śląska Cieszyńskiego była raczej kwestią drugoplanową w porównaniu ze środkowoeuropejską wojną domową, ale oni także zdawali sobie sprawę ze znaczenia regionu i oczywiście sympatyzowali z tamtejszą ludnością polskojęzyczną, również z powodu tego samego wyznania (Conrad 2014, 102–112, 180–190; Kamiński 2003).

Tymczasem na miejscu pojawiły się dwa konkurencyjne przedstawicielstwa lokalnych mieszkańców, chcące wziąć sprawy w swoje ręce. 19 października 1918 r. utworzono w Cieszynie Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, a jedenaście dni później powstał czeski Krajowy Komitet Narodowy dla Śląska (Zemsky narodni vybor pro Slezsko) w Ostrawie (Conrad 2014, 104; *Protokoły posiedzeń plenarnych Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego* 2016). Co ciekawe, nazwa polskiego przedstawicielstwa nawiązywała do historii regionu, choć przecież w kwestii przyłączenia tych obszarów do Polski Warszawa posługiwała się argumentami etnicznymi. W tamtym czasie obie argumentacje – skład etniczny i historia – były zresztą stosowane dość arbitralnie przez (nie tylko) polskie władze.

Pod koniec 1918 r. oba przedstawicielstwa były gotowe do osiągnięcia porozumienia uwarunkowanego korzystnym podziałem Śląska Cieszyńskiego. „Możliwość wielce niepożądanego konfliktu polsko-czeskiego przekreślona została – na razie – przez zawarcie umowy Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego z Národním Výborem pro Slezsko. Inicjatywa wyszła ze strony czeskiej w pierwszych dniach listopada [1918 r.]” – wspominała po latach Zofia Kirkor-Kiedroniowa (Gąsior 2016, 21; Conrad 2014, 104). Polacy nie byli jednak zadowoleni z wyników negocjacji, gdyż większość ich rodaków pozostałaby po czeskiej stronie ostatecznie wytyczonej granicy. W tamtym okresie Czesi też przestali się zadowalać swoją częścią Śląska Cieszyńskiego, rosła więc groźba konfliktu zbrojnego.

Do końca roku rządowi Polski i Czechosłowacji nie udało się osiągnąć ostatecznego porozumienia. Napięcie narastało, tym bardziej że polscy i czescy bojownicy gromadzili siły w strefie nadgranicznej, obserwując siebie nawzajem po obu stronach tymczasowej granicy, ustalonej 5 listopada 1918 r. mniej więcej na linii podziału językowego (Conrad 2014, 105–109; *Protokoły posiedzeń plenarnych Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego* t. 2, 33–37). Po polskiej stronie rotmistrz Wacław Czaczka-Ruciński słał z Cieszyna do Warszawy regularne raporty. Na początku stycznia 1919 r. przekazał nerwowy meldunek: „Wczoraj [2 stycznia] przechwycono depeszę, którą wysłał komendant załogi czeskiej w Boguminie do komendy wojskowej w Pradze. W depeszy tej prosi major o zatwierdzenie planu zajęcia Cieszyńskiego [...]. W Boguminie znajdują się tylko dwie nasze kompanie i w Jabłonkowie jedna. Z innych zaś miejscowości załogi ściągnąć nie można. Więc trudno się będzie utrzymać

załogom naszym tak w Boguminie, jako też w Jabłonkowie. Prosimy przeto zawiadomić Ministerstwo Spraw Zagranicznych, aby wniosło protest do rządu czeskiego w Pradze. Rada Narodowa Ks. Cieszyńskiego wnosi protest do "Národního Výboru" (*Odrodzenie Wojska Polskiego 1918–1919 w materiałach Centralnego Archiwum Wojskowego* 2008). Nerwowość kapitana Czaczki-Rucińskiego była uzasadniona. Bogumin przypadł Polsce – uznały to obie strony. Jedyna czeska kompania tolerowana w mieście mogła działać wyłącznie na rozkaz polskiego komendanta okręgowego w Cieszynie (Wesołowski 2008, 228). Przełęcz Jabłonkowska i tunel kolejowy miały ogromne znaczenie strategiczne. Wkrótce potem ruszyły na granicę siły czeskie, a wśród nich legionista kapitan Micka: „I jak grom z jasnego nieba nagle wdarł się w nasz spokój złowieszczy: «Alarm! Ładować!». I nocą po ciemku [...] znika Praga. Znów w wagonach, znów po krótkiej przerwie miarowy stukot kół wytycza w naszych myślach pytanie: dokąd? «Chłopczy, jedziemy do siebie – Śląsk Cieszyński nas woła, potrzebuje nas!»” (Gąsior 2016, 29). W ciągu kilku dni miasteczka wymienione przez Czaczkę-Rucińskiego zostały zajęte przez Czechów (Bílek 2011, 52–57). Będąca skutkiem tego polsko-czeska wojna graniczna ogarnęła także górniczy region Karwiny (Bílek, 58–60). Trwała tydzień – od 23 do 30 stycznia 1919 r. – i kosztowała życie około 150 polskich i czeskich żołnierzy, a mniej więcej tysiąc odniosło rany (Conrad 2014, 110–111; Wyszczelski 2006, 290–299). Część żołnierzy służących po obu stronach pochodziła z tego samego zakątka ziemi, powtórzyła się więc tam prawidłowość walki bratobójczej charakterystyczna dla wszystkich frontów środkowoeuropejskiej wojny domowej (Przybylski 1932, 21; Bílek 2011, 46–51). Kaprał Jan Hórák stwierdził z oburzeniem: „Rozproszeni po mieście [Ostrawa] chwytny urywki wiadomości, z których wreszcie zaczynamy rozumieć, o co właściwie chodzi. «Bracia» Polacy chyba całą Śląsk i całą Ziemię Ostrawską chcą sobie przywłaszczyć [...]. Z naszymi «braćmi» Polakami mamy porachunki, i to duże. Jak bowiem wiadomo, Polacy mieli swoje legiony [w I wojnie światowej] po obu stronach. Tak we Francji, jak i w Austrii” (Gąsior 2016, 29). Aby „odzyskać Śląsk Cieszyński [...] dla Czechosłowacji bez niepotrzebnych wdów i sierot”, podpułkownik Josef Šnejdárek, czeski komendant Ostrawy, skrzyknął francuskich, angielskich, włoskich i amerykańskich oficerów z sił rozjemczych, żeby utworzyć rzekomą komisję aliancką i w ten sposób przekonać polskiego komendanta w Cieszynie pułkownika Franciszka Latinika do wydania rozkazu wycofania polskich oddziałów. Latinik nie nabrał się jednak na ten fortel i rozpoczął się rozlew krwi (Gąsior, 29–30; Conrad 2014, 110–111; *O Niepodległą i granice* 1999, 31).

Dwie odsłony, z całą pewnością przypadki nieodosobnione, ilustrują istotę tej nieregularnej wojny. 24 stycznia 1919 r. czescy żołnierze donosili z Dąbrowy, że zostali ostrzelani przez cywilów z okolicznych domów i dokonali egzekucji na osobach schwytych na gorącym uczynku. Tego samego dnia na Przełęcz Jabłonkowskiej garstka polskich robotników uzbrojonych w broń palną, ale nieobitych w boju, starła się z regularnym oddziałem czeskich legionistów, którzy – jak zeznali naoczni świadkowie – dobijali rannych w bitewnym szale. Polskie i czeskie oddziały przeprowadzały masowe aresztowania cywilów, których niekiedy traktowano brutalnie i głodzono. Okoliczne drogi zapełniły się tysiącami uchodźców. Małe „księstwo” utonęło w chaosie (Gąsior 2016, 31–35). Mniej więcej w tym samym czasie region Spiszu i Orawy na wschodzie, w południowej części Galicji, przeżywał podobnie tragiczne wydarzenia spowodowane kilkoma ofensywami polskimi i czechosłowackimi (w tym wypadku

głównie słowackimi) w latach 1918–1919 (Conrad 2014, 104–109, 183–184, 188; Kamiński 2003).



Wojna polsko-czechosłowacka o Śląsk Cieszyński, cmentarz w Stonawie. Zwłoki 20 polskich żołnierzy najprawdopodobniej zamordowanych przez czechosłowackich legionistów po poddaniu się 26 stycznia 1919 r. (Kalendarz Ewangelicki 1919, 29, 92–93). © NAC, 1-H-476

Gdy doszło do zawieszenia broni, uzgodnionego 30 stycznia pod presją aliantów, Czesi kontrolowali większość spornego terytorium. W wielu miejscach mieszkało jednak więcej Polaków niż Czechów. Rodziło się więc pytanie – podobnie jak w odniesieniu do Górnego Śląska po obu stronach podziału – jak chronić własną ludność na obszarach opanowanych przez wroga. Na początku 1920 r. na Śląsk Cieszyński przybyła aliancka komisja plebiscytowa, aby dopilnować realizacji podjętego przez ententę planu rozstrzygnięcia sporu drogą głosowania. Polskie i czeskie oddziały zostały zmuszone do wycofania się, pozwolono jednak działać czeskiej żandarmerii i straży obywatelskiej na własnym terenie. Od listopada 1919 r. uaktywniła się również siatka 4 tys. polskich bojowników skupionych w Tajnej Organizacji Wojskowej, złożonej z żołnierzy zdemobilizowanych z Wojska Polskiego. Przeniknęli na czeską stronę, kierowani przez Sekcję Polityczną II Oddziału Ministerstwa Spraw Wojskowych. Niewielka grupa 72 polskich bojowników, którzy nazwali siebie Konfederacją Śląską, dokonywała aktów terrorystycznych wymierzonych w czeskich działaczy i funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Czesi zorganizowali własne formacje cieni i odpłacili Polakom pięknym za nadobne.

Mamy więc do czynienia z nieomal zapomnianą wojną cieni, podobną do toczonej na Górnym Śląsku przez niemiecki Freikorps i Polską Organizację Wojskową. W związku z tym rodziły się takie same problemy. W pionierskiej pracy na temat polskich i czeskich organizacji paramilitarnych na Śląsku Cieszyńskim Edward Długajczyk stwierdza w odniesieniu do pierwszej połowy 1920 r.: „Terror i przemoc niejedno miały oblicze. Od występków kryminalnych, napadów na tle rabunkowym, morderstw z zemsty osobistej należy jednak oddzielić te

wykonywane z pobudek ideowych, narodowych czy klasowych. Nie dlatego, żeby pierwsze potępić, a dla drugich szukać usprawiedliwienia w wyższych racjach, lecz tylko porządkowo, by uchwycić skalę zjawiska i – co wydaje się nie bez znaczenia – dostrzec akceptowanie oraz stosowanie tego typu działalności przez partie polityczne czy lokalne kręgi decydenckie. Wypreparowanie sfery politycznej z pozostałej reszty nie zawsze okazuje się możliwe. To, co na szczeblu decyzji i rozkazu rodziło się z zamysłu politycznego, mogło w wykonaniu przybrać znamiona kryminalne czy osobistego porachunku. Tu wyłania się kolejny problem, mianowicie, w jakim stopniu decydenci i rozkazodawcy, uruchamiając maszynę terroru i przemocy, do końca nad nią panowali. Nie ulega wątpliwości, że maszyna puszczona w ruch niechybnie zmierzała ku niesterowalności” (Długajczyk 2005, 14).

Po miesiącach pełnych strachu i nienawiści pierwsze porozumienie na Śląsku Cieszyńskim opracowano w końcu lipca 1920 r. w Paryżu. Nadeszło w chwili, gdy Warszawa próbowała desperacko powstrzymać napór Sowietów, nie mogła więc w pełni się skupić na innych problemach. Kolej, kopalnie węgla i lepsza część terenów nadolziańskich pozostały po czeskiej stronie. Cieszyn przepołowiono (Conrad 2014, 185–190).

Można się zastanawiać, czy starcia zbrojne między Czechami a Polakami były nieuniknione. Dla Polski prowizoryczna granica z 5 listopada 1918 r. była najlepszym rozwiązaniem, a ostateczna granica z 28 lipca 1920 r. najgorszym ze wszystkich branych ówczesznie pod uwagę (Kamiński 2003, mapa 2). Można się też dziwić, że nie udało się wynegocjować kompromisu satysfakcjonującego obie strony. Kilka czynników wykluczało jednak takie porozumienie. Rząd w Warszawie musiał się liczyć nie tylko z konkretną sytuacją w terenie, lecz także z międzynarodowym kontekstem oraz warunkami panującymi na innych polskich pograniczach. Na początku 1919 r., gdy ofensywa czeska wisiała w powietrzu, polskie władze wahały się przed podjęciem działań mimo płomiennych wezwań płynących z cieszyńskiego garnizonu (Gąsior 2016, 27–28).

Kolejny czynnik to określony moment. Konflikt o Śląsk Cieszyński był odseparowany geograficznie, ale politycznie połączony z konfliktem o Spisz i Orawę, tak więc rozwój wypadków w jednym regionie wpływał na sytuację w drugim. Oprócz tego oba państwa były zaangażowane na innych frontach. W przypadku Czechów konflikt z Węgrami o Słowację oraz z Niemcami i Austrią o Czechy (kraina) miały wyraźny wpływ na sytuację na Śląsku Cieszyńskim. Gdyby to nie wystarczyło, żeby doprowadzić negocjatorów obu stron do obłędu, dodatkowo o niczym nie można było decydować bez zgody aliantów w Paryżu i ich przedstawicielstw w terenie, a oni też nie zawsze mówili jednym głosem. To poczwórne zapętlenie w oczywisty sposób ograniczyło możliwości negocjacyjne. Trzeba było anielskiej cierpliwości i iście nadprzyrodzonej wyobraźni, żeby opanować sytuację. Nic z tego. Strony przyczyły się, gotowe do działania i wykorzystania momentu słabości przeciwnika. Pech Polski polegał na tym, że alianci byli już zmęczeni i pragnęli raz na zawsze rozstrzygnąć tę kwestię sporną latem 1920 r., tj. w czasie, gdy Polska z pełną determinacją usiłowała utrzymać linię frontu na wschodzie.

Polsko-czeski konflikt o Śląsk Cieszyński jest bardzo pouczający. Można dowodzić, że jego stawka nie była najwyższa, że miał drugorzędne znaczenie. Niemniej zrodził nienawiść, która zatrzymała relacje polsko-czeskie na cały

okres międzywojenny. Strony już na początku skrzyżowały miecze, nie było więc odwrotu. Nawet gdy ucichły strzały, kolejnym trudnym miesiącom towarzyszyła przemoc aż do ostatecznego rozwiązania konfliktu, a nawet dłużej. 11 listopada 1920 r. polsko-czeska grupa mierniczych w asyście żołnierzy, wytyczając granicę w Beskidach, natknęła się na 16 czy 18 Polaków, których najpierw wzięto za turystów. Po krótkiej rozmowie ci drudzy wyciągnęli pistolety i karabiny, po czym rozpoczęli bezceremonialne przesłuchanie. Trójce polskich mierniczych i żołnierzowi pozwolono odejść, trzech czeskich mierniczych brutalnie pobito, a żołnierza nazajutrz znaleziono zastrzelonego. Według ustaleń czeskiej i polskiej policji napastnicy mówili miejscowym dialektem i należeli do polskiego Komitetu Wojskowo-Patriotycznego. Wielu z nich znano z nazwiska, ale mieszkali po polskiej stronie, toteż nigdy nie stanęli przed sądem (Długajczyk 2005, 136–138; Majer 2015). Przemoc ze strony oddziałów paramilitarnych odcisnęła piętno na tym regionie i nic już nie było jak dawniej. Idylla prysła.

### Przypisy:

\* Tekst jest fragmentem najnowszej książki Jochena Böhlera, *Wojna domowa. Nowe spojrzenie na odrodzenie Polski*, Kraków 2018, Wydawnictwo Znak. Redakcja portalu Ohistorie.eu składa serdeczne podziękowania Autorowi oraz Wydawnictwu Znak za możliwość opublikowania tego fragmentu tekstu (z małymi zmianami redakcyjnymi).

### Bibliografia:

- Bílek Jiří (2011), *Kysela těšinska jablička: Československo-polske konflikty o Těšinsko 1919, 1938, 1945*, t. 1, Praha.
- Conrad Benjamin (2014), *Umkämpfte Grenzen, umkämpfte Bevölkerung. Die Entstehung der Staatsgrenzen der Zweiten Polnischen Republik 1918–1923*, Stuttgart.
- Długajczyk Edward (2005), *Polska konspiracja wojskowa na Śląsku Cieszyńskim w latach 1919–1920*, Katowice.
- Gąsior Grzegorz (2016), *Stawianie granicy*, w: *Przez granicę. Polacy–Czesi w XX wieku na łamach „Karty”*, red. Krzysztof Wittels, Warszawa.
- Kalendarz Ewangelicki na Rok Pański 1920. Wydany przez grono pastorów i nauczycieli (1919)*, Cieszyn.
- Kamiński Marek K. (2003), *Konflikt polsko-czeski 1918–1921*, Warszawa.
- Majer Petr, *Tragický incident na svahu hory Čantoryje v Těšinských Beskydech*, „Vlast”, 11 listopada 2015, <https://vlast.cz/tragicky-incident-na-svahu-hory-cantoryje-v-tesinskych-beskydech/>.
- O Niepodległą i granice*, t. 1 (1999): *Komunikaty Oddziału III Naczelnego Dowództwa Polskiego 1919–1921*, red. Marek Jabłonowski, Adam Koseski, Warszawa–Pułtusk.
- Odrodzenie Wojska Polskiego 1918–1919 w materiałach Centralnego Archiwum Wojskowego*, (2008), red. Andrzej Wesołowski i in., Warszawa (depesza kapitana Wacława Czaczki-Rucińskiego do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z 3 stycznia 1919 r.).
- Protokoły posiedzeń plenarnych Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego (1918–1920)*, (2016), red. Edward Długajczyk, Miłosz Skrzypek, t. 1–2, Cieszyn.

Przybylski Adam (1932), *Walka o Śląsk Cieszyński w styczniu 1919 roku*, Warszawa.

---

## ONR gra va banque. Zapomniany epizod schyłku okupacji



BARTOSZ WÓJCIK

### **ONR gra va banque. Zapomniany epizod schyłku okupacji**

Z wybuchem walk w Warszawie na powierzchnię wyszły cywilne organa Polskiego Państwa Podziemnego – mająca odpowiadać za odbudowę administracji Delegatura Rządu na Kraj oraz będąca namiastką parlamentu wolnej Polski Rada Jedności Narodowej. Dysponujące mandatem legalnych władz struktury nie były jednak wyłącznymi ośrodkami aspirującymi do objęcia kontroli politycznej nad terytorium stopniowo opuszczanym przez Niemców. W sierpniu obok montowanych na wschód od Wisły agend prosowieckiego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w grze pojawiła się nowa, niezależna i biegunowo od nich odległa inicjatywa. Zaplecze polityczne oenerowskiego odłamu Narodowych Sił Zbrojnych, nieuznającego zwierzchnictwa Armii Krajowej, ogłosiło powołanie Rady Narodowej Polski.

„Wobec zaszłych w Warszawie wypadków została w połowie sierpnia 1944 r. na terenie jednego z miast Polski powołana przez przedstawicieli całego szeregu

stronnictw i ugrupowań politycznych polskich, stojących na gruncie chrześcijańskim i narodowym, Rada Narodowa Polski” – donosił specjalny komunikat. Jego autorzy stwierdzali, że ciało ma odtąd stanowić „nadrzędny polityczny czynnik w Kraju”. Choć zarówno enuncjacja, jak i komentarze do niej zawierały asekuracyjne akcenty, sugerujące gotowość do rezygnacji z podjętej akcji w wypadku sprzecznych z nią dyrektyw rządu RP bądź wyjścia z Warszawy Rady Jedności Narodowej (RJN), intencje jej inicjatorów były wyraźne. Towarzysząca komunikatowi publicystyka zarzucała legalnym władzom Polskiego Państwa Podziemnego (PPP) zdradę narodowego interesu, uległość wobec Sowietów oraz kierowanie się pobudkami materialnymi. Do terenowych działaczy ugrupowań „grubej czwórki” – w jej skład wchodziły partie współtworzące RJN: Stronnictwo Ludowe (SL), Polska Partia Socjalistyczna (PPS), Stronnictwo Narodowe (SN) oraz Stronnictwo Pracy (SP) – apelowano: „Zdobądźcie się na hart ducha i przebojowość, wnieście się ponad interesy partyjne w ramach nowej Reprezentacji Opinii Narodu – Rady Narodowej Polski” („Przegląd Narodowy” 1944, nr 5).

Zapewnienie o stojącym u źródeł inicjatywy „całym szeregu stronnictw i ugrupowań” oraz sugestie, jakoby zaplecze polityczne Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) jedynie dołączyło do Rady, nie były zgodne z prawdą. Mimo że oenerowcy podjęli próbę przyciągnięcia lokalnych działaczy innych ugrupowań, krok ten był inicjatywą Obozu Narodowego (ON) – konkurencyjnego wobec struktur Polski Podziemnej podmiotu, za którym kryli się polityczni zwierzchnicy NSZ. Jego wagę wzmacniało to, że komunikat o powołaniu Rady opublikowano m.in. na łamach „Rzeczpospolitej Polskiej” – tytułu imitującego oficjalny organ prasowy delegata rządu na kraj.

### **„0 polską myśl polityczną”**

Konspiracyjną działalność narodowców od początku cechowała z jednej strony wysoka dynamika, z drugiej natomiast silna, wynikająca z przedwojennych jeszcze konfliktów, fragmentaryzacja. Już po kilku miesiącach okupacji nacjonalistyczne podziemie wyłoniło kilka konkurencyjnych wobec siebie ośrodków. Własną działalność, autonomiczną wobec głównego nurtu polskiego ruchu narodowego – ten stanowiły podziemne SN (krypt. „Kwadrat”) oraz utworzona przy nim Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW) – podjęły także kręgi przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR). Środowisko to, świadomie odchodzące od kojarzonej z przychylnością wobec prądów faszystowskich przedwojennej „firmy” na rzecz związanej z organem prasowym nazwy Grupa „Szańca” (Boguszewski 1984, s. 24), powołało Organizację Wojskową „Związek Jaszczurczy” (ZJ). Zaplecze polityczne „wojskówki” stanowiła wielostopniowo zakonspirowana Organizacja Polska (OP). Podobnie jak pozostałe ośrodki wywodzące się z szeroko rozumianego ruchu narodowego, oenerowcy aspirowali do zdominowania ogółu struktur nacjonalistycznych, docelowo zaś – nadania charakteru zgodnego z duchem swych postulatów całemu wysiłkowi niepodległościowemu. Popieranym przez legalne władze tendencjom leżącym u podstaw budowanego stopniowo Polskiego Państwa Podziemnego – akcji zjednoczeniowej wszystkich struktur zbrojnych w ramach oficjalnej organizacji wojskowej ZWZ-AK oraz koncentracji polskiego życia politycznego wokół stronnictw „grubej czwórki” – przeciwstawili ideę konsolidacji środowisk o profilu katolicko-narodowym.

We wrześniu 1942 r., wraz z przeciwnymi włączeniu militarnej siły „Kwadratu” w szeregi AK rozłamowcami spod znaku SN i NOW oraz kilkoma mniejszymi organizacjami, powołali Narodowe Siły Zbrojne. Nowa formacja, już samą nazwą podważająca pozycję oficjalnej Komendy Sił Zbrojnych w Kraju, miała stanowić oddolną, niejako „społeczną” propozycję alternatywną wobec państwowej i zdominowanej przez piłsudczyków – problem ten podnosili zresztą nie tylko narodowcy, lecz także ludowcy czy lewica socjalistyczna – „firmy” AK. Konkurencyjne dla organów państwa podziemnego struktury narodowcy powołali także na płaszczyźnie administracyjno-politycznej – funkcję Delegatury Rządu na Kraj (DR) zdublowała Służba Cywilna Narodu (SCN), a Politycznemu Komitetowi Porozumiewawczemu (PKP) przeciwstawiono Tymczasową Narodową Radę Polityczną (TNRP).

Pertraktacje z gremiami kierowniczymi nowego ośrodka podjęte zostały wprawdzie bardzo szybko, ale rozmowy przebiegały w atmosferze wyraźnej nieufności. Celem dowództwa AK i politycznego kierownictwa podziemia rządowego było podporządkowanie sobie kolejnej organizacji. Celem zaplecza NSZ – uzyskanie aprobaty dla funkcjonowania równoległych struktur cywilno-wojskowych. Stosunki jeszcze bardziej zaostrzyły się wiosną 1943 r., gdy oficjalne tytuły AK zaatakowały „warcholstwo” NSZ, a pełniący obowiązki delegata rządu Jan Stanisław Jankowski wydał oświadczenie potępiające „samozwańczą komendę »Narodowych Sił Zbrojnych«” (Komorowski 2000, s. 396). W pochodzącym z tego okresu meldunku omawiającym przebieg akcji scaleniowej dowódca AK gen. Stefan Grot-Rowecki, stwierdzał: „[NSZ] wywodzi się od ONR Szaniec. Występuje napastliwie przeciwko Siłom Zbrojnym w Kraju, prowadząc demagogiczną agitację w prasie, w słowie, siejąc w terenie szkodliwy zamęt. Próbuje tworzyć tzw. Armię Narodową, przeciwstawiając się Armii Krajowej. Wykorzystują ambicję drobnych organizacji paramilitarnych i łączą je pod firmą NSZ”. Polityczni przywódcy obu głównych nurtów stojących za nacjonalistyczną propozycją alternatywną wobec koncepcji PPP nie zamierzali jednak ustępować. W maju zawarli porozumienie o utworzeniu Obozu Narodowego. W kolejnych miesiącach propaganda nowego ośrodka piętnowała „lewo-sanacyjne wpływy w ZWZ”, demaskowała „żydomasoński rodowód” demokracji parlamentarnej, wskazywała na „anachronizm” i „zmurszałość partyjnych porozumień” leżących u podstaw przyjętej przez PPP koncepcji „czwórporozumienia”. Stanowczo krytykowała również jego minimalizm w kwestii przyszłych granic. Za głównego wroga wskazując Sowiety, wzywała do hamowania wystąpień przeciw organom niemieckim i skoncentrowania się na „tępieniu agentury komunistycznej”. „Z Niemcami walczy cały świat. Niemcy wojnę już przegrały. Z Rosją Sowiecką walczą tylko Niemcy. Dlatego też zlikwidowanie w Polsce agentur sowieckich, choćby stroiły się w najpiękniejsze patriotyczno-polskie piórka, to obowiązek, to konieczność. Tego wymaga polska racja stanu” – głosił oenerowski „Szaniec” (Siemaszko 1972, s. 13). Gdzieniegdzie na odcinku antykomunistycznym struktury NSZ zaczęły przejawiać skłonność do współpracy z niemieckimi służbami bezpieczeństwa (Borodziej 1985, s. 79–80).

Liderzy Polski Podziemnej zdawali sobie sprawę z zagrożenia komunistycznego. Nakazywali jednak – choć w dołach pojawiały się także tendencje bliskie „akcji bezpośredniej” – zwalczać je przede wszystkim na gruncie propagandowym (Bartoszewski, Żenczykowski 1984). Radykalną postawę ON uważali za szkodliwą – dostarczającą argumentów Sowiетom, i ryzykowną w perspektywie ich wejścia



na terytorium RP, sprzyjającą polityce Niemców, wreszcie – komplikującą położenie Polski w obozie alianckim. Podstawą do odzyskania niepodległej państwowości, według konsekwentnie realizowanej polityki legalnych władz, miał być bowiem wkład w antyniemiecki wysiłek państw sprzymierzonych; żelaznym argumentem w dyplomatycznym starciu z potęgą sowiecką – zdobyte dzięki niemu poparcie mocarstw zachodnich. „Nasza decyzja musi brzmieć: 1. Nie przerywać ani na chwilę walki z Niemcami; 2. Zmobilizować duchowo do walki z Rosją całe społeczeństwo w Kraju, nie wyłączając tych czynników, które mogłyby wpaść pod wpływ sowieckie i posłużyć do rozłożenia jednolitego frontu polskiego; 3. Złamać warcholską robotę ONR, która przez swe nieodpowiedzialne wystąpienia może naruszyć jedność frontu polskiego, a przez to stanowić pożądaną dla Sowietów dywersję” – depešował do Londynu na krótko przed powstaniem warszawskim gen. Tadeusz Bór-Komorowski (IPMS, PRM.L.6, dok. 35). W dużej mierze podobnymi względami – świadomością braku potencjału Polski do samodzielnego kształtowania własnych granic – motywowane były koncepcje terytorialne propagowane w oficjalnych enuncjacjach Polski Podziemnej.

Mimo powtarzających się wzajemnych oskarżeń i wychodzenia na jaw kolejnych aktów nielojalności – te w kontekście pertraktacji wpływały nie tylko między stronami sporu, lecz także w łonie samego ON, gdzie o pozycję rywalizowali oenerowcy i rozłamowcy z „Kwadratu” – w marcu 1944 r. doszło do podpisania umowy scaleniowej między AK i NSZ. Problematiczne porozumienie okazało się jednak tylko połowiczne. Podtrzymać je miała część wywodząca się z frondy w SN i NOW, upatrująca w ponownym zjednoczeniu szeregów szansę na konsolidację sił niepodległościowych, a także na powstrzymanie rosnących, również w łonie AK, wpływów lewicy (Komorowski, s. 413–414). Oenerowcy z kolei zdecydowali się zerwać scalenie i w dalszym ciągu, tym razem już samodzielnie, forsować koncepcję ON – ośrodka opartego nie na „fałszywych podstawach tzw. demokracji”, ale „sile Narodu” i „moralnych zasadach nauki Chrystusa”, gwarantującego niezależną od zewnętrznych nacisków realizację polskiej racji stanu. „W najbliższym czasie powinna powstać prawdziwa reprezentacja całego narodu, a w ślad za tym [...] polska myśl państwowa, z udziałem całego Narodu i przez cały Naród w pełni rozumiana i realizowana” – zapowiadano w czerwcu 1944 r., atakując pozornie i fasadowość koncepcji zjednoczenia politycznego wokół głównych stronnictw i AK. Dalej stwierdzano: „Polska myśl polityczna musi się znaleźć i musi zacząć nami rządzić, bo to jest warunek sine qua non naszego zwycięstwa” („Szaniec” 1944, nr 8).

## **W cieniu Jasnej Góry**

W lipcu 1944 r. krytyczni wobec idei powstania, spodziewający się jednak zbrojnego wystąpienia w stolicy, liderzy polityczni oenerowskiego odłamu NSZ w większości opuścili miasto. Nowym ośrodkiem radykalnie antykomunistycznej, konkurencyjnej wobec PPP grupy stała się Częstochowa. Tam właśnie, gdy tylko stało się jasne, że podjęta przez AK walka, zgodnie zresztą z przewidywaniami narodowców, nie ma widoków powodzenia, oenerowcy zdecydowali się ogłosić „reprezentacją Narodu”. Atutem wystąpienia miała być symbolika miejsca. „Zgodnie z najszczytniejszymi tradycjami Narodu Polskiego przedstawiciele Rady Narodowej Polski, pomimo istniejących trudności komunikacyjnych, dotarli 15 sierpnia br., w dzień Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej do

Częstochowy, gdzie pod Cudownym Obrazem zwrócili się o opiekę i błogosławieństwo dla swych prac do Tej, która była zawsze i będzie Orędowniczką Narodu Polskiego” – zawiadamiano już w komunikacie o powołaniu ciała („Przegląd Narodowy” 1944, nr 5).

Twórcy Rady mającej stanowić odtąd kontynuację RJN – w rzeczywistości nadal funkcjonującej w powstańczej Warszawie – zapowiadali „ustalenie wytycznych dla postępowania organów administracji cywilnej i wojskowej na zachód od linii frontu”. Wchodzili tym samym także w kompetencje Delegatury Rządu, której struktury terenowe bynajmniej nie przerwały pracy z momentem wybuchu walk w stolicy. RNP, według enuncjacji – odłam podziemia narodowego naprawdę nie dysponował takimi możliwościami – miała też pozostawać w „stałym, bezpośrednim kontakcie z Rządem RP w Londynie”. W zakończeniu komunikatu inicjatorzy akcji zawarli akcenty ograniczające – warto zaznaczyć, że już z końcem lipca 1944 r. rząd RP podjął uchwałę zapowiadającą ukaranie „pewnych kół byłego ONR i podległego ich wpływom skrajnego odłamu tak zwanych Narodowych Sił Zbrojnych” w wolnej Polsce – ewentualną odpowiedzialność polityczną. Zapowiadali gotowość podporządkowania się i przekazania swoich agend władzom PPP, jeśli taka będzie wola legalnych władz (tamże). Zapewne podobny, „osłaniający” charakter miała rzekoma, mocno akcentowana, wielonurtowość Rady. W rzeczywistości bez większych efektów próbowano przyciągnąć do inicjatywy lokalnych działaczy SN, SP, PPS [sic!] oraz stanowiącej swoisty odłam tego pierwszego Organizacji „Ojczyzna” (Muszyński 2011, s. 335).

Reakcja poważnie osłabionych – podjęcie otwartej walki w stolicy istotnie dezorganizowało funkcjonowanie aparatu terenowego – struktur PPP była jednoznaczna. Kielecka okręgowa Delegatura Rządu wydała oświadczenie zaprzeczające insynuacjom propagandy ON o rzekomo nieznanym losie delegata i zaniku aktywności RJN. Wskazując na ich kontakt zarówno z regionalnymi agendami podziemia, jak i legalnymi władzami, konstatowała: „Powołanie obok istniejącej Rady Jedności Narodowej organizacji pod nazwą »Rada Narodowa Polski« jest robotą destrukcyjną, szkodliwą dla żywotnych interesów Narodu i Państwa Polskiego” (Orłowski 2006, s. 226). Jeszcze ostrzej wystąpiła zdominowana przez lewicę – zapewne miało to wpływ na ton enuncjacji – Delegatura krakowska. „Organizacja ta – atakował ONR jej organ – stojąca daleko poza najprymitywniejszym pojęciem etyki politycznej, wybitnie szkodliwa dla interesów polskich, nie przebiera w środkach, aby dojść do wytyczonego celu, tzn. do zaprowadzenia w Polsce rządów faszystowskich. Wśród bogatego repertuaru jej metod nie brak spótki z elementami pospolitych przestępców kryminalnych, szantaży i innych środków, które ONR dyskwalifikują pod każdym względem. [...] wobec faktu, że w Warszawie działa w dalszym ciągu Pełnomocnik Rządu i Rada Jedności Narodowej, utworzenie jakiejś samowolnej Rady Narodowej jest typową robotą zmierzającą do zdeorganizowania społeczeństwa polskiego, tym bardziej zbrodniczą, że uzurpującą sobie oficjalny charakter reprezentacji narodu polskiego. Ten również cel miało upodobnienie graficzne pisma ONR do »Rzeczypospolitej« wychodzącej w Warszawie, aby stworzyć »optyczne« pozory, że częstochowska Rada Narodowa jest kontynuacją Delegatury warszawskiej”. Kończąc, dezawuowano znaczenie zaplecza politycznego RNP i ostrzegano społeczeństwo, „aby nie dało wprowadzić się w błąd patriotycznym hasłem częstochowskiej

»Rzeczypospolitej«, ponieważ są one pospolitym bluffem, którym zresztą ONR bardzo chętnie się posługuje” („Kurier Powszechny” 1944, nr 11).

O wystąpieniu zaplecza niezależnego odłamu NSZ poinformowano także Londyn. Wskazywano na związane z powołaniem Rady zagrożenie eskalacją, i tak ogromnej, będącej konsekwencją powstania, anarchii. Zarazem jednak uspokajano, podkreślając nikły rezonans akcji podjętej przez ON. „Rada Narodowa notyfikowana w wyd[awnictwach] »Rzecz[pospolita Polska« oraz »Przegląd Narodowy« nie znalazła poparcia w żadnym ze stronnictw politycznych i uważana jest za dywersyjny akt polityczny” – donoszono w nadanej z początkiem października 1944 r. depeszy z Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK (IPMS, PRM.L.8, dok. 22). Wydaje się, że próbę przejęcia kontroli nad reprezentacją polityczną kraju potraktowano jako skazaną na porażkę. Poważniejszy problem, w ocenie pogrążonych w chaosie wojskowo-cywilnych struktur PPP, stanowiły sygnalizowane przez komórki AK, WRN oraz ludowców przejawy wymierzonej głównie w podziemie komunistyczne współpracy samodzielnego odłamu NSZ z organami niemieckimi. Wątek ten stanowi jednak oddzielne zagadnienie.

### **Fiasko koncepcji**

Wobec braku jakiegokolwiek pozytywnego odzewu, przy licznych niepozostawiających złudzeń co do oceny przedsięwzięcia głosach krytycznych, organizatorzy RNP stopniowo wycofywali się z podjętej akcji. W listopadzie, w odpowiedzi na atak organu krakowskiej AK – ten, piętnując działalność ONR i powołanie RNP, podał też fałszywą informację, jakoby członkowie niepodporządkowanego AK odłamu NSZ wyłamali się z frontu walczącej Warszawy („Małopolska Agencja Prasowa” 1944, nr 38) – kierownictwo ON oświadczało: „Rada Narodowa Polski miała za zadanie wypełnić lukę, jakiej należało się spodziewać w wyniku powstania i wytworzonej sytuacji politycznej. Przed ukonstytuowaniem się Rady Narodowej Polski zostali powiadomieni o tej inicjatywie Delegaci Okręgowi Rządu, względnie ich zastępcy. Charakter zastępczy Rady Narodowej Polski był zawsze we wszystkich jej oświadczeniach podkreślany”. Odżegnywali się przy tym od inicjatorskiej roli w rzeczonyj akcji, sugerując, że ON był tylko jednym z podmiotów w nią zaangażowanych („Przegląd Narodowy” 1944, nr 11).

Mimo że Rada nie zyskała poważniejszego znaczenia, także po upadku powstania i wyjściu ze zniszczonej stolicy struktur Delegatury Rządu oraz RJN twórcy inicjatywy nie zdecydowali się na jej definitywne zamknięcie. W kolejnych tygodniach stopniowo dogorywała, coraz wyraźniej schodząc na dalszy plan (Muszyński 2011, s. 337). Zasadniczym problemem środowiska stawała się rywalizacja z SN o kontrolę nad strukturami NSZ. Narastający konflikt, którego szczególnie głośnym epizodem było dokonane jeszcze w czerwcu porwanie oficera mającego koordynować włączanie NSZ do AK i zmuszenie go – pod groźbą wykonania „orzeczonej” przez oenerowski Sąd Wojenny przy Dowództwie NSZ kary śmierci – do rezygnacji, jesienią miał nabrać jeszcze ostrzejszego wymiaru. Wewnętrzne rozrachunki w łonie ruchu narodowego przypłacić życiem miało kilku spośród niedawnych towarzyszy oenerowców w dziele budowy formacji konkurencyjnej wobec AK, a nawet sam pełniący obowiązki komendanta głównego NSZ. Co charakterystyczne, po zabiciu zwierzchnika własnych oddziałów na pierwszej stronie organu prasowego grupy ukazał się nekrolog bolejący nad

śmiercią „dobrego patrioty, wybitnego wojskowego, najlepszego zwierzchnika i kolegi” [sic!]. Odpowiedzialnością za „bratobójczy mord” obciążał niesprecyzowane „środowisko sług Stalina” („Szaniec” 1944, nr 52).

\*\*\*

Choć utworzenie RNP, abstrahując od efektów podjętej akcji, stanowiło swego rodzaju apogeum działalności politycznej oenerowskiego odłamu podziemia, częstochowski epizod rzadko uwzględniany jest w rozważaniach o roli NSZ i ich zaplecza. Niekiedy, zgodnie z tłumaczeniami samych liderów ON czynionymi po fiasku akcji bagatelizowany, bywał też interpretowany jako próba wytworzenia rządu alternatywnego wobec legalnych władz. Jednoznaczna odpowiedź na pytanie, jaką rolę miała odegrać enigmatyczna Rada w założeniach jej inicjatorów, chyba nie jest możliwa. Wiele mówią jednak wcześniejsze zapowiedzi stojącego za nią ośrodka, wśród nich przytoczony wyżej artykuł o polską myśl polityczną czy publikowany w centralnych tytułach Grupy „Szańca” kilka miesięcy wcześniej, jeszcze przed eskalacją sporu, tekst zatytułowany Zmory. Kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego nazywano tam „mikrobami tkwiącymi w opętańczym tańcu”, „zmorami” pozbawionymi jasnej idei i dla korzyści materialnych zwodzącymi społeczeństwo, po czym dodawano: „W końcu uderzymy pięścią w tę narośl, która sama niezdolna do prowadzenia Narodu, chce ideę zastąpić... filmem o mikrobach. Mamy już dosyć. Mamy już dosyć opowiadania o jakimś legalizmie, o jakichś prawach tych czy innych grup, zasłużonych panów do władzy, mamy dość partyjnych targów i darć i krzyków i oszustw. Ogłupiający nas film o mikrobach politycznych zniszczymy, zedrzymy maskę z oszustów, zamknjemy obłąkańców tam, gdzie ich należyte miejsce. Żądamy nowego kierownictwa. Narodu. Kierownictwa, które wie, do czego dąży, które rzuca nam ideę czynu, jasny i wyraźny obraz przyszłej Polski i nas, Polaków, w niej rolę. [...] W Narodzie naszym tworzy się Ruch. Ruch Narodowy, który przybierze charakter żywiołu, który na czele swym poniesie tych, którzy żyją jutrem, a nie zatęchłą atmosferą wczoraj” („Załoga” 1943, nr 15).

Korekta językowa: Beata Bińko

## **Bibliografia**

Materiały archiwalne: zdigitalizowane zasoby Instytutu Polskiego i Muzeum im. Władysława Sikorskiego w Londynie (IPMS)

Prasa: „Małopolska Agencja Prasowa”, „Kurier Powszechny”, „Przegląd Narodowy”, „Szaniec”, „Załoga”

## Opracowania i artykuły

Bartoszewski W., Żenczykowski T., *Wydział „R” w Biurze Informacji i Propagandy KG AK*, „Zeszyty Historyczne” 1984, nr 70.

Boguszewski T., *Odtwarzanie dziejów Narodowych Sił Zbrojnych*, „Zeszyty Historyczne” 1984, nr 69.

Borodziej W., *Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w GG*, Warszawa 1985.

Komorowski K., *Polityka i walka. Konspiracja zbrojna ruchu narodowego*

1939–1945, Warszawa 2000.

Muszyński W. J., *Duch młodych. Organizacja Polska i Obóz Narodowo-Radykalny w latach 1934–1944. Od studenckiej rewolty do konspiracji niepodległościowej*, Warszawa 2011.

Orłowski M., *Prasa konspiracyjna Stronnictwa Narodowego w latach 1939–1947*, Poznań 2006.

Siemaszko Z., *Grupa „Szańca” i Narodowe Siły Zbrojne*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1972, nr 21.

---

## **Polskie Państwo Podziemne, podziemie nacjonalistyczne, podziemie komunistyczne – próba sił**



RAFAŁ WNUK

### **Polskie Państwo Podziemne, podziemie nacjonalistyczne, podziemie komunistyczne – próba sił**

#### **Uwarunkowania polityczne**

Uderzenie Wehrmachtu na Związek Radziecki doprowadziło do natychmiastowego przewartościowania w stosunkach polsko-radzieckich. 20 czerwca 1941 r. Polska była państwem walczącym w obozie aliantów, napadniętym i okupowanym przez III Rzeszę i Związek Radziecki. Tydzień później cały obszar przedwojennej Polski znalazł się pod okupacją niemiecką, a ZSRR stał się członkiem koalicji

antyhitlerowskiej. 30 lipca 1941 r. premier Władysław Sikorski i ambasador ZSRR w Londynie Iwan Majski podpisali układ unieważniający postanowienia paktu Ribbentrop-Mołotow i przywracający polsko-radzieckie stosunki dyplomatyczne między obydwojoma państwami. Układ nie gwarantował jednak nienaruszalności terytorialnej II Rzeczypospolitej. Wraz ze stopniowym wzmocnieniem pozycji międzynarodowej ZSRR spowodowanej sukcesami na froncie wschodnim pogarszały się relacje polsko-radzieckie. Stalin dążył do rewizji przedwojennych granic i stworzenia radzieckiej strefy wpływów w Europie Środkowej. Polska miała stać się jej częścią. Konsekwentnie zmierzał do osiągnięcia tych celów, podejmując następujące działania:

- reanimował ruch komunistyczny w okupowanej Polsce w postaci Polskiej Partii Robotniczej;
- stworzył nieuznający rządu RP w Londynie prokomunistyczny ośrodek pretendujący do reprezentowania wszystkich „polskich demokratów” w Moskwie – Związku Patriotów Polskich;
- stworzył przy Armii Czerwonej, podlegającą ZPP i niezależną od rządu RP na emigracji, jednostkę wojskową – I Dywizję Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki;
- dezawuował rząd londyński na arenie międzynarodowej, by w końcu 25 kwietnia 1943 r. jednostronnie zerwać stosunki z rządem RP w Londynie.

Relacje pomiędzy podziemiem komunistycznym, sowiecką partyzantką a tzw. podziemiem londyńskim były odbiciem stanu oficjalnych, międzypaństwowych stosunków radziecko-polskich.

### **Państwo podziemne czy państwa podziemne?**

Polskie Państwo Podziemne (PPP) zaczęło kiełkować we wrześniu 1939 r. Gdy po upadku Francji stało się jasne, że okupacja Polski potrwa kilka lat, rząd polski na uchodźstwie dał „zielone światło” na stworzenie w kraju nie tylko podziemnej armii, ale też konspiracyjnych struktur politycznych i administracyjnych. PPP stało się szybko masowym, oddolnym, pluralistycznym, prodemokratycznym ruchem społecznym i jednocześnie kontynuacją przedwojennej państwowości. Państwo to posiadało ogólnokrajową administrację, na której czele stał delegat rządu na kraj w randze wicepremiera. Władze krajowe stanowiły konspiracyjną reprezentację rządu polskiego w Londynie. Było ono też porozumieniem stronnictw politycznych. Liderzy głównych polskich partii wchodzili do Krajowej Reprezentacji Politycznej, przekształconej na początku 1944 r. w parlament Państwa Podziemnego (Radę Jedności Narodowej). Jego częścią były własne sądy wojskowe i cywilne oraz armia – Związek Walki Zbrojnej przemianowany w lutym 1942 r. na Armię Krajową. Polskie Państwo Podziemne było formalno-prawną kontynuacją międzywojennej Rzeczypospolitej Polski i reprezentowało w okupowanym kraju rezydujący w Londynie rząd. Żołnierze ZWZ-AK posiadali status żołnierzy Wojska Polskiego, identyczny z żołnierzami regularnych jednostek armii polskiej walczących na Zachodzie. Stan ten uznawali alianci zachodni. Armia Krajowa liczyła w szczytowym momencie około 360 tys. członków, w cywilnych strukturach PPP zaś działało ponad 100 tys. ludzi, łącznie dawało to około pół miliona osób (na 22 mln Polaków żyjących pod okupacją). Wiosną 1944 r. w stałych oddziałach leśnych walczyło 35-40 tys. żołnierzy AK.

Poza PPP pozostały dwie skrajne siły polityczne – komuniści i radykalni nacjonaści. Na skrajnej prawicy sytuowała się konspiracja wywodząca się z odwołującego się przed wojną do wzorców faszystowskich Obozu Narodowo-Radykalnego ABC. W połowie października 1939 r. radykalni narodowcy, funkcjonujący w tym okresie jako Organizacja Polska (OP), powołali do życia własną formację wojskową – Związek Jaszczurczy. W październiku 1942 r. organizacja ta połączyła się z grupą rozłamowców ze Stronnictwa Narodowego i kilkoma efemerycznymi grupami nacjonalistycznymi. Przywódcy tego środowiska świadomie sytuowali się poza obrębem PPP (otwarcie kontestujące jego agendy), a żołnierzy Armii Krajowej nie uznawali za żołnierzy Wojska Polskiego. Stworzyli własne podziemne instytucje parapaństwowe: podziemną administrację – Służbę Cywilną Narodu, zawiązek przyszłego rządu – Dyrektoriat Generalny, aspirującą do odgrywania politycznego przedstawicielstwa wszystkich Polaków, Tymczasową Narodową Radę Polityczną i Narodowe Siły Zbrojne, w dokumentach własnych organizacji nazywane Armią Narodową.

Przywódcy ruchu narodowo-radykalnego definiowali polskość, używając tak argumentów rasowych, jak i kulturowych. Całkowicie wykluczali ze wspólnoty narodowej uznanych za obcych etnicznie Niemców i Żydów. Dopuszczali jednocześnie asymilację narodową Białorusinów i Ukraińców [Sierchuła 2001, s. 134]. Nacjonaści z OP planowali zdobycie władzy drogą zbrojnego przewrotu wymierzonego w konstytucyjną władzę państwową, co określali mianem narodowej rewolucji. W efekcie miało powstać państwo rządzone przez monopartyjną dyktaturę z rozwiązaniami ustrojowymi, bliskimi modelowi faszystowskiemu [Siemaszko 1982, s. 69-89; Bębenek 1973, s. 43-46]. NSZ, w chwili powstania, uznawały za wrogów zarówno Niemców, jak Sowieców i polskich komunistów. W 1944 r. w szeregach NSZ zrzeszonych było około 40 tys. ludzi.

Na przeciwległym biegunie znaleźli się komuniści. Na skutek rozwiązania KPP przez Komintern w 1938 r. w okupowanej Polsce nie istniała podziemna partia komunistyczna. Działy co prawda podziemne grupki radykalnej lewicy, jak „Młot i Sierp” czy „Stowarzyszenie Przyjaciół Związku Radzieckiego”, ale wobec wydanego przez Stalina zakazu występowania przeciw Niemcom nie miały one żadnego znaczenia. Atak Niemiec na ZSRR doprowadził do radykalnej zmiany. Na przełomie grudnia 1941 i stycznia 1942 r. na teren Polski, na spadochronach, zrzuconych zostało 10 członków tzw. grupy inicjatywnej przeszkolonych przez sowieckie służby specjalne. Tworzyli ją polscy komuniści, którzy otrzymali zadanie stworzenia w okupowanym kraju polskiego proradzieckiego podziemia. 5 stycznia 1942 r. na spotkaniu w Warszawie utworzyli oni Polską Partię Robotniczą.

Oficjalny program partii nie zawierał bezpośrednich nawiązań do komunizmu, odwoływał się do haseł patriotycznych, narodowych i idei sprawiedliwości społecznej. PPR zapowiadała m.in. reformę rolną, nacjonalizację przemysłu i wprowadzenie do gospodarki elementów planowania. Komuniści nie uznawali mandatu rządu RP na uchodźstwie, opowiadali się za ścisłym sojuszem ze Związkiem Radzieckim, a ziemie wschodnie II RP (50% przedwojennego terytorium Polski) winny należeć do Związku Radzieckiego i nie zakładali tam własnych komórek organizacyjnych. PPP uważali za „przedstawicielstwo reakcji”.

Komuniści powołali własne instytucje parapaństwowe. W styczniu 1944 r. ogłosili powstanie Krajowej Rady Narodowej, mającej być komunistycznym

podziemnym parlamentem. Siłami zbrojnymi PPR była Gwardia Ludowa, przekształcona następnie w Armię Ludową. Głównym hasłem komunistów było wywołanie natychmiastowego powstania zbrojnego, co stało w sprzeczności z polityką rządu na uchodźstwie i działaniami AK, nastawionymi na wywołanie powstania powszechnego, w momencie zbliżania się frontu do granic Polski (w 1942 r. linia frontu przebiegła pod Stalingradem) i po uzgodnieniu planów powstańczych z dowództwem alianckim. Ruch komunistyczny zrzeszał 30-40 tys. osób. Partyzantka GL-AL początkowo nieliczna i słabo wyszkolona z czasem, dzięki sowieckiemu wsparciu w sprzęcie i ludziach, urosła w siłę. W połowie 1944 r. AL dysponowała liczbą 6 tys. partyzantów w oddziałach leśnych.

Latem i jesienią 1941 r. w wyniku ofensywy niemieckiej setki tysięcy czerwoarmistów znalazło się na niemieckich tyłach. Zdecydowana większość trafiła do niewoli, a zaczęła tworzyć grupy partyzanckie. 29 lipca 1941 r. kierownictwo WKP(b) i Rada Komisarzy Ludowych ZSRR zarządziły, że na obszarach okupowanych miejscowa ludność ma natychmiast przystąpić do tworzenia oddziałów partyzanckich i grup dywersyjnych, niszczyć linie kolejowe, mosty, zabijać wszystkich pracowników administracji okupacyjnej, policjantów, kolaborantów itp. W maju 1942 r. w Moskwie powstał Centralny Sztab Ruchu Partyzanckiego. Jego zadaniem była koordynacja i wspieranie działań partyzanckich. Sztab zdołał przerzucić za linię frontu 83 tys. przeszkolonych w walce dywersyjnej specjalistów, oficerów NKWD i Armii Czerwonej, radiotelegrafistów itp. Kontrolę polityczną nad oddziałami leśnymi przejęły konspiracyjne komórki partii bolszewickiej. Wielkie, kilkutyśięczne zgrupowania oddziałów tworzyły pozostające poza kontrolą niemieckich władz okupacyjnych „partyzanckie zony”. W szczytowym momencie rozwoju, wiosną 1944 r., w „czerwonych oddziałach” walczyło jednocześnie około 180 tys. bojowników [Slepyan 2008, s. 150-156].

## **Relacje AK i partyzantki radzieckiej na ziemiach wschodnich II RP**

Na ziemiach wschodnich II RP, w nomenklaturze radzieckiej określanych jako Zachodnia Białoruś i Zachodnia Ukraina, według Kremla prawo do prowadzenia podziemnej działalności miała mieć wyłącznie podziemna WKP(b) i partyzantka radziecka. Nacjonałiści z OP i NSZ nie zdołali stworzyć tam własnej sieci organizacyjnej, PPR zaś nie podjęła tam działań, bo nie uznawała tych ziem za część Polski. W efekcie AK i struktury cywilne PPP nie miały tam żadnej polskiej konkurencji. Musiały za to rywalizować z silnym tam radzieckim ruchem partyzanckim.

Na Wołyniu i w Galicji Wschodniej mordy OUN-UPA na Polakach oraz faktycznych i potencjalnych zwolennikach komunistów sprawiły, że polsko-sowieckie animozje zeszyły na drugi plan. Od 5 do 7 tys. Polaków, którzy uniknęli śmierci, trafiło do sowieckich oddziałów partyzanckich. Tam szukali ocalenia i możliwości zemsty na Ukraińcach. Występujący przeciwko UPA partyzanci radzieccy stawali się częstosojusznikami polskich samoobron i AK. Współpraca ta, choć podszyta wzajemną nieufnością, przetrwała do nadejścia Armii Czerwonej w 1944 r. [Trofymowicz 1999, s. 193-214; Motyka 2006, s. 352-360] Partyzantka sowiecka na Polesiu była tak silna, że stała się niekwestionowanym „gospodarzem terenu”. Tamtejsza AK, liczebnie słaba, nie odegrała istotnej roli w walce z Niemcami, nie występowała przeciwko partyzantce sowieckiej ani się z nią nie wiązała.



Na Nowogródzczyźnie i Wileńszczyźnie początkowo relacje między sowieckim podziemiem a miejscową ludnością polską i białoruską, jak też z polskim podziemiem układały się poprawnie. Zmiana nastąpiła w końcu 1942 r., gdydo czerwonych partyzantów dołączyli przysłani przez Moskwę dowódcy i oficerowie polityczni. Wówczas relacje zaczęły się psuć. Kością niezgody pozostawała przynależność państwowa tych ziem. Sowieccy komendanci uważali, że działają „u siebie”, to samo twierdzili dowódcy AK. Napięcia te nie przeradzały się jednak w otwarty konflikt. Zwrot nastąpił po zerwaniu przez Stalina stosunków z rządem RP w na uchodźstwie. Już 8 maja 1943 r. partyzanci radzieckiej Brygady Stalina wymordowali około 130 Polaków z Naliboków – miejscowości będącej silną bazą tamtejszej AK. Od tego wydarzenia strony zaczęły traktować się z dużą nieufnością. W tajemniczych okolicznościach ginęli pojedynczy żołnierze obu stron, dochodziło do „przypadkowych”, wzajemnych ostrzeliwań.

W połowie czerwca 1943 r. kierujący całym sowieckim ruchem partyzanckim Pantelejmon Ponomarienko instruiował: „Istnienie wielorakich organizacji kierowanych przez polskie nacjonalistyczne centra [...] należy traktować jako ingerencję w sprawy i interesy naszego kraju. [...] W rejonach, w których działają już utworzone przez polskie kręgi nacjonalistyczne oddziały, muszą one być bezwzględnie wypierane przez oddziały i grupy tworzone przez nas. [...] Kierowników w sposób niedostrzegalny usuwać”. Dwa dni później nakazał: „Wszystkie powstające organizacje i zgrupowania polskie wykrywać i wszelkimi sposobami wystawiać na uderzenie okupanta niemieckiego. Niemcy nie będą się wahać, by ich rozstrzelać, jeśli dowiedzą się, że są to organizatorzy zgrupowań polskich czy innych bojowych organizacji polskich. [...] Nie krępujcie się w wyborze środków. Muszą być zakrojone na wielką skalę, tak by wszystko przebiegało gładko” [cyt. za: Musiał 2014, s. 589]. Wytyczne szybko wcielono w życie. 23 sierpnia 1943 r. dowódca sowieckiego zgrupowania partyzanckiego Fiodor Markow zaprosił do swej bazy członków sztabu zgrupowania AK por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”. Polscy partyzanci zostali podstępnie rozbrojeni i aresztowani. „Kmicica” i 50 jego żołnierzy zamordowano, ponad 100 Polaków zaś wcielono przymusowo do sowieckich oddziałów partyzanckich [Bohdanowicz 2008, s. 8-9]. Podobny los spotkał żołnierzy Zgrupowania Stołpeckiego AK, operującego w Puszczy Nalibockiej. Dowódcy jednostki zostali zaproszeni przez komendanta oddziałów sowieckich gen. Wasilija Czernyszewa „Płatona”. Gdy 30 listopada pięciu oficerów AK przybyło do sowieckiego obozu, wszystkich aresztowano. Sowieckie brygady otoczyły polski obóz. Polaków zebrano pod pozorem wspólnego wiecu AK i czerwonych partyzantów, po czym zmuszono do złożenia broni. Kilkunastu opornych rozstrzelano na miejscu. Zatrzymanych oficerów AK przewieziono samolotem do Moskwy i osadzono w więzieniu NKWD na Łubiance. 200 akowców siłą wcielono do oddziałów sowieckich.

Oddziały sowieckie rozpoczęły „polowanie” na oddziały AK. Nowy dowódca Zgrupowania Stołpeckiego AK ppor. Adolf Pilch „Góra” zdołał zorganizować obronę i odeprzeć ataki brygad sowieckich. Po kilku dniach żołnierzom AK skończyła się amunicja, tymczasem czerwoni partyzanci otrzymywali regularnie zrzucone broni i amunicji. W obliczu klęski „Góra” podjął najbardziej kontrowersyjną decyzję w karierze, zwrócił się o pomoc do Niemców. Umowa została zawarta. Wiosną 1944 r. w rejonie Puszczy Nalibockiej 10 tys. partyzantów sowieckich walczyło przeciwko 2,5 tys. partyzantów polskich.

Pomimo sprzeciwu Komendy Głównej AK lokalne porozumienie z Niemcami przetrwało do Akcji „Burza” [Boradyn 1999].

### **Relacje: Polskie Państwo Podziemne – komuniści**

W Polsce centralnej prasa PPR od 1942 r. atakowała rząd polski na uchodźstwie i jego krajowe agendy o zdradę i kolaborację z Niemcami. Komunistyczna propaganda głosiła, że polscy patrioci chcą podjęcia natychmiastowej walki zbrojnej przeciwko Niemcom. AK-owska strategia oszczędzania krwi była ich zdaniem „reakcyjna”, „godna potępienia”, a prasa podziemna PPP była jakoby „megafonem hitlerowskiej propagandy” [Gontarczyk 2003, s. 129]. Komunistyczny wywiad rozpracowywał działaczy PPP, co było przygotowaniem się do przyszłej z nimi rozprawy.

W lutym 1943 r. doszło do rozmów przedstawicieli Delegatury Rządu i AK z przedstawicielami PPR na temat podjęcia współpracy. Reprezentanci PPP jako warunki porozumienia postawili: uznanie przez PPR rządu RP w Londynie, deklaracji, iż uznają nienaruszalność przedwojennej granicy Polski z ZSRR, oraz oświadczenia, że nie reprezentują interesów obcych państw. W odpowiedzi delegacji PPR zażądali uznania równorzędności AK i GL, pozostawienia sprawy granicy wschodniej otwartej i powołania nowego rządu, z siedzibą w okupowanym kraju. Przy radykalnie odmiennych stanowiskach porozumienie było niemożliwe [Korboński 1986, s. 116-117]. Kontakty jednak podtrzymywano aż do zerwania polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych.

Jesienią 1942 r. pierwsze bojówki GL rozpoczęły zwalczanie „kułaków”, „kapitalistów” i „dziedziców”, co w praktyce oznaczało napady rabunkowe na bogatszych rolników, ziemian itp. W języku własnym GL-AL była to „walka ekonomiczna”, uderzająca we „wrogów klasowych” i okupantów. Na początku 1943 r. miały miejsce pierwsze wypadki „likwidowania reakcjonistów”, to jest zabijania członków niekomunistycznego podziemia. Z czasem działania te nabrały rozmachu. Wiosną 1944 r. we wsi Owczarnia na Lubelszczyźnie członkowie AL zamordowali 18 żołnierzy AK, a w wąwozie Puziowe Doły dziesięciu krewnych żołnierzy AK [Caban 1994, s. 135-137]. Najbardziej dotkliwym uderzeniem w PPP było wytropienie przez wywiad AL archiwum Delegatury Rządu na Kraj. W połowie kwietnia 1944 r. komuniści doprowadzili do jego likwidacji rękami Gestapo [Marszałec 2006, s. 27-35]. Komuniści stanowczo odmawiali współpracy z polskim Londynem i PPP. Twierdzili, że rząd nie jest reprezentatywny, bo „nie skupia wokół siebie większości narodu”. Dla siebie rezerwowali rolę „reprezentanta szerokich mas” oraz „wszystkich prawdziwych patriotów”. Czynili to, mając świadomość niewielkiego poparcia społecznego. Jesienią 1943 r. jeden z liderów polskich komunistów Alfred Lampe pisał: „Z wyjątkiem komunistów wszystkie tradycyjne kierunki polskie były antysowieckie. Orientacji na ZSRR, takiej jak widzimy w Czechosłowacji, nie było, nie ma w Polsce. I być nie może. [...] Jeśli nawet w końcowej fazie wojny, dzięki wyzwoleniu Polski spod jarzma hitlerowskiego przez Armię Czerwoną, wytworzy się w kraju atmosfera przychylna dla Związku Radzieckiego [...], to stan taki nie będzie długotrwały. Bez zniszczenia struktur społeczno-politycznych stara Polska nie może przeorientować się na poważnie i na długo” [Kersten 1985, s. 33].

Komunistyczna prasa podkreślała, że PPR sprzyja Związkowi Radzieckiemu, lecz pozostaje partią w pełni suwerenną. Nie padały tam pojęcia: „komunizm”,

„bolszewicy” czy „kołchozy”. Często zaś używano słów – „naród”, „polskie ziemie etniczne”. W publikowanych tam tekstach określenie „patriota”, często w formie „prawdziwy patriota”, było używane jako ekwiwalent pojęcia „członek PPR”. Głównym celem propagandy PPR był rząd RP na uchodźstwie i PPP stanowiące, z ich punktów widzenia, najpoważniejszą przeszkodę na drodze do władzy. Komuniści starali się nadać swym atakom wymiar ideowego sporu o wizję przyszłej Polski. Sami osadzali się w roli reprezentanta „wszystkich elementów wolnościowych, postępowych i demokratycznych”, przeciwników zaś określali mianem „elementów faszystowskich i reakcyjnych”. W tak skonstruowanej manichejskiej wizji świata PPR z definicji stał po stronie dobra i postępu, wszyscy bez różnicy zaś przeciwnicy występowali w roli reprezentantów zła i wsteczności. Tak skonstruowany opis rzeczywistości pozwalał im wrzucić do tego samego „worka”: AK, działaczy PPP, nazistów i członków NSZ. Po stronie dobra, obok PPR i GL-AL, obowiązkowo figurował Związek Radziecki i – zdecydowanie rzadziej – alianci zachodni.

Do 1942 r. agendy informacyjne Podziemnego Państwa nie prowadziły akcji propagandowych wymierzonych w komunistów. W okresie obowiązywania paktu Ribbentrop-Mołotow nie istniała taka potrzeba. Związek Radziecki byłskompromitowany w oczach znakomitej większości Polaków, polski ruch komunistyczny zaś rozbity. Wraz z powstaniem PRR sytuacja zaczęła ewoluować. W związku z nasilającymi się atakami komunistycznej prasy na rząd RP na uchodźstwie w Londynie i Armię Krajową odpowiedzialne za walkę z nazistowską propagandą Biuro Informacji i Propagandy (BiP) AK zaczęło uważniej obserwować działania komunistów. W prasie PPP opublikowano też pierwsze informacje o problemach związanych z działalnością sowieckich oddziałów partyzanckich. Komunistyczna propaganda wymagała reakcji ze strony PPP. Chęć utrzymania poprawnych relacji ze Związkiem Radzieckim oraz początkowe nadzieje na włączenie PPR w orbitę PPP sprawiały, że odpowiedzi te były umiarkowane, pisane w myśl zasady „nie zaogniać”.

W 1943 r. w odpowiedzi na zerwanie sowiecko-polskich stosunków państwowych i rosnącą aktywność partyzantki sowieckiej oraz GL agendy PPP zintensyfikowały działania propagandowe. Jesienią 1943 r. BiP wydało zalecenie dotyczące propagandy wobec komunistów, które zakładały, że:

- nie może ona być wymierzona przeciwko innym radykalnie lewicowym ugrupowaniom politycznym;
- należy za wszelką cenę unikać wszystkiego, co mogłoby być utożsamiane przez komunistów z działalnością radykalnych nacjonalistów – Narodowych Sił Zbrojnych.

W prasie i ulotkach PPP podkreślano, iż komuniści są niesuwerenni w swych decyzjach, reprezentują interesy ZSRR i „rozbijają jedność narodową”. Wydano szereg broszur pod charakterystycznymi tytułami – Dwa totalizmy (porównanie ZSRR i III Rzeszy) czy skierowana do chłopów Do kołchozów zapędzić się nie damy. Najbardziej w świadomości społecznej utrwaliła się akcja malowania na ścianach napisu „PPR – Płatne Pachołki Rosji”. Można się było na niego natknąć niemal w każdej miejscowości Generalnego Gubernatorstwa [Marszałec 2003, s. 134-141].

Szeregowym, członkom PPR i GL-AL zarzucano, iż dali się zwieść patriotycznej

„masce” komunistów i nie dostrzegają ich prawdziwych intencji. Dla przykładu, wydawanym przez warszawską Delegaturę Rządu piśmie „Dzień Warszawy” [nr 649 z 11 sierpnia 1943 r.], w artykule „Chłopcy z lasu”, czytamy: „Pepeerowskie szmatławce pełne są opisów »bohaterskich« wyczynów partyzantów Gwardii Ludowej, przy czym bezceremonialnie zalicza się na swój rachunek wystąpienia oddziałów Kierownictwa Walki Cywilnej (PPP). Wszystkie te »Trybuny Ludu«, »Głosy Warszawy« [„Trybuna Ludu” i „Głos Warszawy” były konspiracyjnymi pismami PPR – R.W.] pragną otoczyć nimbem heroizm nieszczęśliwych, otumanionych komunistyczną propagandą – polskich awangardzistów czerwonej armii. [...] Jakże inaczej wygląda ta komunistyczna partyzantka, gdy się z nią zetknąć bliżej. [...] Rzekoma walka z okupacją ogranicza się do napadów rabunkowych przeważanie na ludność polską”.

Propaganda PPP podkreślała, że negatywna ocena komunistów nie wynika z uprzedzeń ideologicznych, lecz reprezentowania przez nich interesów obcego państwa. GL-AL oraz oddziałom sowieckim zarzucano, że pod pozorem „walki ekonomicznej z okupantem i reakcją” uprawiają pospolity bandytyzm. W połowie 1943 r. komendant główny AK informował rząd w Londynie, że nakazał „[...] zwalczanie wyniszczających naszą ludność band rabunkowych bez względu na ich narodowość i sztyl. Partyzantów sowieckich jako takich nie atakuję. Propaganda sowiecka i PPR, także na terenie Kraju, wyzyskują naszą walkę z bandytyzmem do atakowania nas” [AK w dokumentach 1990, t. III, s. 157].

Lokalni dowódcy musieli decydować, które oddziały GL i oddziały sowieckie mają charakter partyzancki, a które bandycki. W warunkach okupacji precyzyjne określenie, co jest bandytyzmem, a co konieczną dla przeżycia w lesie rekwizycją, było częstokroć niemożliwe. W efekcie relacje pomiędzy partyzantką komunistyczną polską i sowiecką a podziemiem londyńskim zależały od siły partyzantki AK. Tam, gdzie była ona mocna, stosunki były zazwyczaj lepsze. W niektórych regionach zapanował stan cichej wojny podjazdowej, w trakcie której zasada odwetu stawała się ważniejsza niż udowadnianie winy. Niekiedy wyroki „za bandytyzm” kamuflowały porachunki osobiste lub zwalczanie politycznych przeciwników [Puławski 2006, s. 245-252]. Oficerowie komendy głównej AK i przywódcy starali się zapobiec wybuchowi wojny domowej. Tego rodzaju konflikt podważał wiarygodność rządu II RP w Londynie w oczach zachodnich aliantów, co było na rękę Stalinowi. Gdy w połowie 1943 r. szef wyspecjalizowanej komórki PPP – Porozumienia Antykomunistycznego zaproponował, by wziąć pod uwagę scenariusz fizycznej likwidacji komunistów, pomysł ten został zdecydowanie odrzucony.

Wraz ze zbliżaniem się frontu wschodniego do ziem centralnej Polski napięcie na linii PPP-PPR bezustannie rosło. Komuniści z premedytacją parli do radykalizacji zbrojnego konfliktu, do maksymalnej polaryzacji społeczeństwa. Hasła natychmiastowego antyniemieckiego „zrywu powstańczego” łączyli z nawoływaniem do „walki z reakcją”, czyli PPP i podziemiem narodo-radykalnym. W ocenie AK, gdyby strategia komunistów odniosła sukces, okupowaną Polskę ogarnęłaby wojna domowa.

### **Relacje: Polskie Państwo Podziemne – Narodowe Siły Zbrojne**

Wewnątrz Narodowych Siłach Zbrojnych ścierały się „jastrzębie” z OP ONR i „gołębie” wywodzący się z SN. Ci pierwsi dążyli do narodowej rewolucji i

odrzucałi jakiegokolwiek związki z nieuznawanym przez nich, potępianym za „liberalny, socjalistyczny i demokratyczny” charakter, Polskim Państwem Podziemnym. Środowisko OP ONR w swej prasie bardzo ostro atakowało Delegaturę Rządu, odmawiając jej prawa reprezentowania rządu RP. Lokalnie dochodziło też do prowokowania przez NSZ starć zbrojnych z Armią Krajową. Taktyka „gołębi” zakładała docelowe scalenie z AK, lecz na możliwe najkorzystniejszych dla NSZ warunkach. Dowództwo AK dostrzegało możliwość scalenia z NSZ, zakładało jednak, że odbędzie się ono na zasadach podobnych do tych, na jakich wcześniej wchodziły do podziemnego Wojska Polskiego inne konspiracyjne organizacje.

Rozłamowe działania obozu narodowego były wielokrotnie piętnowane przez najwyższe władze Rzeczypospolitej. Delegat rządu na kraj Jan Piekałkiewicz w lutym 1943 r. działalność rozłamową ONR ABC ocenił następująco: „Ostatnim wydarzeniem takim jest utworzenie samowolnej komendy Narodowych Sił Zbrojnych, której rozkazy obliczone są na wywołanie wrażenia, że stosunki rozkazodawcze w dziedzinie wojskowej są jeszcze płynne. Z ramienia Naczelnego Wodza i Ministerstwa Obrony Narodowej wszystkie sprawy wojskowe kraju reguluje komendant Sił Zbrojnych w Kraju, a wszelkie przeciwstawianie się jest robotą szkodliwą i zasługuje na potępienie”. Dwa miesiące później oświadczenie zostało opublikowane w „Biuletynie Informacyjnym” [11 kwietnia 1943 r.], najważniejszym organie prasowym Komendy Głównej AK, pod znamienym tytułem Warcholstwo.

Komendant Sił Zbrojnych w Kraju, dowódca AK gen. Tadeusz Komorowski, w reakcji na przedłużające się rokowania scaleniowe, 9 listopada 1943 r. wydał rozkaz, w którym informował, że w myśl rozkazu naczelnego wodza „NSZ nie będą uznane przez władze polskie” i nakazywał uświadomić członków NSZ, że „należenie do NSZ nie jest równoznaczne ze służbą czynną w szeregach Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, obowiązkiem ich jest natychmiastowe opuszczenie przez nich organizacji NSZ i zameldowanie się do czynnej służby w Armii Krajowej” [AK w dokumentach 1991, t. VI, s. 355].

Kilka dni później komendant AK opublikował w „Biuletynie Informacyjnym” [25 listopada 1943 r.] tekst pod tytułem Wojsko musi być jedno, w którym czytamy: „w obecnych warunkach Polski, kiedy groza germańskiego terroru sięga co dnia po setki Polaków i Polek, kiedy sowiecki sprzymierzeniec naszych aliantów wciąż jeszcze nie wyrzekł się zaborczych względem nas zamiarów, kiedy front wschodni pożogą bojów przesuwają się poczyni przez wschodnie połacie Rzeczypospolitej – w takich chwilach każdy, kto działa przeciw jedności wojska, jest szaleńcem. Komenda NSZ wykazała brak instynktu państwowego. Samowolne, nieprzemyślane kroki wojskowe i polityczne tej organizacji kosztują Polskę zbyt wiele, aby mogły być dalej tolerowane. Wszystko co zdrowe musi szybko i zdecydowanie opuścić szeregi szkodników”. W marcu 1944 r. kontrolowana przez „gołębi” część NSZ podporządkowała się PPP. Do AK przeszła prawie połowa żołnierzy tej organizacji. „Jastrzębie” pozostały poza strukturami PPP jako NSZ-OP i podjęły brutalną walkę z niedawnymi towarzyszami broni. Bojówki NSZ-OP zamordowały szereg oficerów Komendy Głównej NSZ, niedawnych swych przełożonych, którzy przeszli do AK. Obsesja zdrady i tropienie „piątej kolumny” doprowadziła w końcu do tego, że jedna z bojówek NSZ zastrzeliła komendanta NSZ-OP – płka Stanisława Nakoniecznikowa-

Klukowskiego „Kmicica”.

Liderzy „jastrzębi” doszli do wniosku, że wobec perspektyw zajęcia całej Polski przez Armię Czerwoną należy ewakuować z kraju główne siły NSZ-OP na Zachód. Słusznie zakładali oni, iż sojusz sowiecko-anglosaski jest nietrwały. Mylili się natomiast w innych prognozach. Zakładali mianowicie, że w kilkanaście miesięcy po upadku III Rzeszy dojść musi do wybuchu III wojny światowej. W jej trakcie ewakuowane na Zachód oddziały NSZ wrócić miały do Polski u boku Amerykanów i Brytyjczyków w roli wyzwolicieli. Pod ich kierownictwem miało nastąpić odrodzenie Polski. By zrealizować ten plan, w styczniu 1945 r. dowódcy głównego zgrupowania NSZ-OP – Brygady Świętokrzyskiej podjęli rozmowy z Niemcami. Uzyskali od nich zgodę na ewakuację na Zachód. Brygada Świętokrzyska przeszła pod niemiecką opiekę na Morawy, a następnie przedostała się do amerykańskiej strefy okupacyjnej. W kraju pozostały jedynie szkieletowe, słabe siatki NSZ-OP.

### **Relacje: NSZ – komuniści**

W „założycielskim” dokumencie ideowym NSZ, wydanej w lutym 1943 r. Deklaracji Narodowych Sił Zbrojnych, twórcy organizacji stwierdzali, że realizują wolę „olbrzymiej większości Narodu Polskiego”. Zapowiadali „bezwzględną walkę z każdym wrogiem Państwa Narodu Polskiego” i dodawali, że celem NSZ jest „zdecydowane przeciwdziałanie próbom uchwycenia władzy przez komunę”. Dokument jednoznacznie definiuje wrogów: niemieckich „okupantów” i „dywersję komunistyczną” [Narodowe Siły Zbrojne...1994, s. 31-32]. W ich ocenie Związek Radziecki i ruch komunistyczny, z drugiej zaś strony III Rzesza i nazizm stanowiły, w równym stopniu, zagrożenie dla Polski i Polaków. „Polityka dwóch wrogów” zasadniczo odróżniała NSZ od polityki rządu na emigracji oraz PPP (ZSRR jako „sojusznik”, a potem „sojusznik naszych sojuszników”).

Sowieckie zwycięstwa na Wschodzie sprawiły, że w połowie 1943 r. dowództwo NSZ skorygowało dotychczasowe założenia. Uznało, że klęska III Rzeszy jest nieuchronna, a ziemie polskie zajęte zostaną przez Armię Czerwoną. Sposób myślenia kierownictwa radykalnych narodowców oddaje artykuł z gazety „Wielka Polska” [nr 29, 3 lipca 1943 r.]: „Zwycięstwo Sowietów w tej grze oznaczałoby dla Polski kompletną katastrofę. Dlatego musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by do niego nie dopuścić. A już przede wszystkim nie wolno nam uczynić niczego, co mogłoby dopomóc Sowietom. Dlatego też musimy chwilowo powstrzymać się od szerszej akcji czynnej przeciwko Niemcom”. Założenie, iż Polska ma dwóch równorzędnych wrogów, przekształciło się w zasadę, iż wrogiem nr 1 jest ZSRR, ich „komunistyczna agentura w Polsce”, Niemcy zaś wrogiem nr 2. NSZ zdefiniowały GL-AL, PPR i partyzantkę sowiecką jako piątą kolumnę i rozpoczęły jej zwalczanie. Komunistów zwalczano przede wszystkim jako przeciwników ideologicznych. Zarzut bandytyzmu, choć wielokroć podnoszony, miał znaczenie drugorzędne.

Pierwszą antykomunistyczną akcją zbrojną przeprowadził późną jesienią 1942 r. oddział NSZ Jerzego Niewiadomskiego „Lecha”. Pod Kraśnikiem, na Lubelszczyźnie, partyzanci NSZ zlikwidowali kilkunastoosobowy sowiecki oddział partyzancki. Pierwsza większa akcja wymierzona w GL miała miejsce 22 lipca 1943 r., już po uznaniu przez kierownictwo organizacji komunistów za „wroga nr 1”. Pod wsią Stefanów, w Radomskim, oddział NSZ kpt. NSZ Huberta

Jury „Toma”, podszywając się pod grupę GL, zaatakował 9-osobowy oddział GL im. Waryńskiego, złożony w większości ze zbiegłych z gett Żydów. Dwóm GL-owcom udało się uciec, pozostali zginęli na miejscu. Najszerszym jednak echem odbił się mord na 28 partyzantach z oddziału GL im. Jana Kilińskiego. Jego sprawcą byli żołnierze oddziału NSZ mjr. NSZ Leonarda Zub-Zdanowicza „Zęba”. Popełniony 9 sierpnia 1943 r., pod Borowem na Lubelszczyźnie, mord odbił się szerokim echem. Komendant główny AK wydał w związku z tym oświadczenie, iż AK nie miała z tymi wydarzeniami nic wspólnego i ostro potępił Narodowe Siły Zbrojne. Odcinając się od tego rodzaju działań, podtrzymywał negatywną ocenę działań PPR i GL. W odpowiedzi najważniejsza gazeta NSZ- „Szaniec” wydrukowała, na pierwszej stronie, artykuł pod wielo mówiącym tytułem NSZ potępione – Armia Ludowa zostaje uznana. Tekst ten wpisywał się w politykę informacyjną NSZ-owskich „jastrzębi”. Jej celem było sugerowanie czytelnikom, iż AK ulega komunistycznej presji i jedynie NSZ niewzruszenie broni polskich interesów narodowych i państwowych.

Niektóre grupy NSZ, jak np. wymienione tu oddziały partyzanckie „Zęba” i „Toma”, praktycznie nie atakowały Niemców i zwalczały wyłącznie polskie oraz sowieckie grupy komunistyczne. W końcu „Tom” nawiązał kontakt z gestapo w Radomiu i przekazał Niemcom listy znanych mu działaczy PPR. W zamian otrzymał od Niemców wsparcie w postaci uzbrojenia i amunicji oraz ochronę. Powstała w sierpniu 1944 r. Brygada Świętokrzyska, główna jednostka NSZ-OP, unikała walk z Niemcami. Choć incydentalnie do starć takich dochodziło. Jej żołnierze zwalczali „nowego okupanta”, czyli komunistów, oraz „oczyszczali tereny polskie z czerwonego bandytyzmu”. Akcje te żołnierze NSZ-OP nazywali „polowaniem na komunistów”. Największą operacją tego rodzaju było okrążenie i rozbicie pod Rzębcem na Kielecczyźnie oddziału AL im. Bartosza Głowackiego i sowieckiego Iwana Karawajewa, liczących razem około 250 partyzantów. Po wygranej bitwie eneszetowcy dokonali egzekucji 67 jeńców. Najczęściej jednak przeprowadzano mniejsze wypadki, podczas których „likwidowano” pojedynczych przeciwników politycznych. W akcjach tego rodzaju, z ręki żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, zabitych zostało kilkuset członków i sympatyków PPR i AL [Komorowski 2000, s. 521-528].

Komuniści i partyzantka sowiecka działały z nie mniejszą brutalnością. W efekcie Kielecczyzna stała się sceną lokalnej komunistyczno-nacjonalistycznej wojny domowej. Niemniej nawet tam AK pozostała najważniejszą organizacją, dysponującą największą liczbą członków i starającą się wyciszyć podsycany przez radykałów konflikt. Przykład Kielecczyzny pokazuje, co groziło polskiemu podziemiu w wypadku zdominowania go przez skrajne ugrupowania.

Funkcję szefa wywiadu Brygady Świętokrzyskiej objął związany z Gestapo „Tom”. Gdy w styczniu 1945 r. Armia Czerwona ruszyła z kolejną ofensywą, za jego pośrednictwem dowództwo Brygady podjęło współpracę z Niemcami. Od tego momentu żołnierze NSZ zwalczali wyłącznie PPR, AL i partyzantkę sowiecką. Brygada wycofała się wraz jednostkami niemieckimi na teren Protektoratu Czech i Moraw pod Brno. W 1945 r. kilkudziesięciu żołnierzy przeszło szkolenie dywersyjne w ośrodkach SD-Abwehry i wiosną zostało zrzuconych na spadochronach do Polskilub dotarło w grupach marszowych, by podjąć walkę z komunistycznymi władzami w kraju [Brzoza 2004, s. 221-270; Friedl2016, s. 21-123]. Grupy te szybko zostały rozbite przez NKWD i nie odegrały znaczącej

roli w kształtowaniu się powojennego podziemia antykomunistycznego w Polsce.

## Zakończenie

W okresie okupacji dwa ugrupowania, przed wojną sytuujące się na marginesie polskiego życia politycznego, zanegowały polską państwowość reprezentowaną przez rząd RP na uchodźstwie i instytucje PPP. Oba zaczęły działać z dwuletnim opóźnieniem względem podziemia „londyńskiego” i oba starały się stworzyć własne, monopartyjne „podziemne państwa”. Pierwsi swój erzac PPP stworzyli komuniści. Do rozszerzenia wąskiej bazy społecznej połączyli program radykalnych zmian ustrojowych i gospodarczych z hasłami narodowo-patriotycznymi. Nawoływanie do podjęcia natychmiastowej, masowej walki zbrojnej miało uczynić z PPR główne ugrupowanie antyniemieckie, z GL-AL zaś najsilniejszą formację partyzancką. Model zastosowany przez czechosłowackich komunistów, polegający na ich wejściu do struktur konspiracyjnych budowanych przez czechosłowacki rząd emigracyjny, by je następnie zdominować, ze względu na siłę PPP, nie wchodził w rachubę. Komuniści więc wybrali wariant jugosłowiański. W tym scenariuszu walka partyzancka z Niemcami prowadziła do eskalacji terroru, a ludzie przed nim uciekający zasilali komunistyczny ruch oporu. Równoczesne zaatakowanie „wrogów klasowych” spychało do defensywy inne organizacje podziemne. PPR i GL powstały jednak zbyt późno, by odegrać rolę głównego organizatora polskiego oporu. To miejsce było już zajęte. Ich wiarygodność, ze względu na świeżą pamięć paktu Ribbentrop-Mołotowi powszechną świadomość pełnej zależności od Kremla, pozostawała niska. GL-AL nie zdołała stać się liczącym konkurentem AK, PPR zaś nie podważyła pozycji PPP. AK nie dała się też wciągnąć w prowokowaną przez GL-AL wojnę domową.

Reaktywacja komunistów okazała się szansą dla radykalnej prawicy. Powściągliwość agend PPP w reagowaniu na posunięcia PPR pozwoliły NSZ wcielić się w rolę obrońców Polski przed komunistycznym zagrożeniem. Zbrojne zwalczanie komunistów i partyzantki sowieckiej miało uwiarygodnić nacjonalistycznych ekstremistów w oczach Polaków obawiających się nadejścia komunistów. Strach przed Sowietami okazał się jednak argumentem zbyt słabym i nie podważył pozycji podziemnego państwa. AK jednoznacznie potępiła wymierzone w komunistów działania NSZ i oskarżyła ich o prowokowanie bratobójczych walk. Pomimo okupacyjnej brutalizacji życia, pogłębiającej się radykalizacji politycznej społeczeństwa oraz parcia komunistów i radykalnych nacjonalistów działań rewolucyjnych wojna domowa w Polsce nie wybuchła. Zapobiegł jej respekt znakomitej większości zaangażowanych w opór wobec decyzji władz PPP.

## Bibliografia:

- Armia Krajowa w dokumentach* (1990), kom. red. T. Pełczyński et al., Londyn, t. III.
- Armia Krajowa w dokumentach* (1991), kom. red. T. Pełczyński et al., Londyn, t. VI.
- Bębenek S. (1973), *Wizja przyszłej Polski w programie „Grupy Szańca”*, „Przegląd Historyczny”, nr 1.
- Bohdanowicz J. (2008maszynopis), *Oddział partyzancki „Kmicica”*. *Armia Krajowa Okręg Wileński*, Warszawa.
- Boradyn Z. (1999), *Niemen – rzeka niezgody. Polsko-sowiecka wojna partyzancka*



na Nowogródczyźnie, Warszawa.

Brzoza Cz. (2004), *Od Miechowa do Coburga. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych w marszu na zachód*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, nr 5.

Caban I. (1994), *Oddziały partyzanckie AK 15 pp „Wilków”*, Lublin.

Chłopczy z lasu, „Dzień Warszawy”, pismo wydawane przez warszawską Delegaturę Rządu na Kraj, nr 649, 11 sierpnia 1943 r.

*Deklaracja Narodowych Sił Zbrojnych* [luty 1943], [w:] *Narodowe Siły Zbrojne. Dokumenty, struktury, personalia*, t. 1, oprac. L. Żebrowski, Warszawa 1994, s. 31-32.

Friedl J. (2016), *Żołnierze banicy. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych w Czechach w 1945 roku*, Gdańsk.

Gontarczyk P. (2003), *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy 1941-1944*, Warszawa.

Kersten K. (1985), *Narodziny systemu władzy. Polska 1943-1948*, Warszawa.

Komendant główny AK gen. Komorowski do centrali, 14 października 1943, *Armia Krajowa w dokumentach*, t. III, Ossolineum 1990.

Komorowski K. (2000), *Konspiracja zbrojna ruchu narodowego 1939-1945*, Warszawa.

Korboński S. (1986), *Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945*, Londyn.

Marszałec J. (2003), *Działalność informacyjna Polskiego Państwa Podziemnego wobec kwestii komunistycznej*, [w:] *Działalność informacyjna Polskiego Państwa Podziemnego*, Warszawa.

Marszałec J. (2006), *Zdobycie Archiwum Delegatury Rządu przez AL i gestapo*, „Biuletyn IPN”, nr 3-4.

Motyka G. (2006), *Ukraińska partyzantka 1942-1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa.

Musiał B. (2014), *Sowieccy partyzanci 1941-1944. Mity i rzeczywistość*, Zysk i S-ka wydawnictwo.

Narodowe Siły Zbrojne (1994), *Dokumenty, struktury, personalia*, oprac. L. Żebrowski, Warszawa, t. 1.

Puławski A. (2006), *Sowiecki partyzant – polski problem*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, nr 9, s. 245-252.

*Armia Krajowa w dokumentach* (1991), t. 6, Wrocław.

Sierchuła R. (2001), *Wizja Polski w koncepcjach ideologów Organizacji Polskiej w latach 1944-1947*, [w:] L. Kulińska, M. Orłowski, R. Sierchuła, *Narodowcy. Myśl polityczna i społeczna obozu narodowego w Polsce w latach 1944-1947*, Warszawa-Kraków.

Slepyan K. (2008), *Partyzanci Stalina*, Poznań.

Trofymowicz W. (1999), *Rola Niemiec i Związku Sowieckiego w konflikcie ukraińsko-polskim w latach 1939-1945*, [w:] *Polska-Ukraina: trudne pytania*, t. 5.

Warcholstwo, „Biuletyn Informacyjny”, 11 kwietnia 1943, oświadczenie Delegata Rządu na Kraj Jana Piekałkiewicza.

Wielka Polska, nr 29, 3 lipca 1943 r.

Wojsko musi być jedno, „Biuletyn Informacyjny”, 25 listopada 1943, artykuł komendanta głównego AK gen. Tadeusza Komorowskiego.

Siemaszko Z. S. (1982), *Narodowe Siły Zbrojne*, Londyn.

## Podziemie – czyli o ratowaniu wolności



SEBASTIAN PAWLINA

### **Podziemie – czyli o ratowaniu wolności**

Jak tysiące podobnych mu wojennych tułaczy Stefan Korboński po przegranym wrześniu 1939 r. wrócił do Warszawy. Była połowa października. Widok, który zastał, biegunowo odbiegał od tego zapamiętanego. „Miasto jak gdyby w żałobie – pisał. – Przez gęsty welon kurzu ledwie widać jego rysy tak dla mnie zawsze miłe. Ani śladu dawnej elegancji i wesołości. Wszystko poszarzało – tu i tam zwalone przez bomby kamienice zwracają uwagę jak dziury w ubraniu. Okaleczone domy, o czarnych, pustych framugach okien, stoją jak rzędy ślepców. I wszędzie masa potłuczonego szkła, tej pierwszej ofiary wojny” (Korboński 2005, s. 9).

Zacytowana relacja nie jest wyjątkiem w literaturze wspomnieniowej. Bez względu na to, czy ktoś opuścił miasto przed 1 września, czy był w nim przez cały czas trwania oblężenia, o stopniu zniszczeń mniej lub bardziej obszernie pisał chyba każdy, kto zostawił zapiski odnoszące się do pierwszych tygodni po kapitulacji – bo i dla każdego były one szokiem. Powoli jednak przyzwyczajano się do widoku zburzonych i wypalonych domów. Tak samo z czasem zaczęto oswajać samą okupację. Jednym zajęło to tygodnie, innym całe miesiące – w końcu jednak ludzie wypracowywali sobie różne strategie przetrwania.

Według Jerzego Kochanowskiego strategie przetrwania polskiego społeczeństwa

okresu okupacji nie zostały dotąd opisane w sposób wystarczająco obszerny (Kochanowski 2016, s. 91, 104-105). W krótkim zarysie problemu wskazał kilka najważniejszych, w tym m.in. te polegające na szukaniu stałego zatrudnienia czy bazujące na działaniach krótkofalowych. Gdzieś pomiędzy tymi modelami moglibyśmy umieścić jeszcze jeden, być może nieoczywisty – konspirację.

### **Obowiązek, zemsta i tradycja**

Kiedy w 1981 r. Stefan Korboński na łamach paryskich „Zeszytów Historycznych” pisał recenzję pracy Jana Tomasza Grossa *Polish society under German occupation* (Princeton University Press 1979), zauważył m.in., że pobudki, którymi kierowali się ludzie wstępujący do podziemia ocenia autor z punktu widzenia „»materialistycznej« interpretacji motywów ludzkiego postępowania i sprowadza wszystko do korzyści i pieniędzy” (Korboński 1981, s. 179), dodając z ironią, że miłość do ojczyzny, chęć walki z wrogiem i patriotyzm okazały się być zbyt pospolitymi dla profesora socjologii. Tymczasem, jak to zazwyczaj bywa w takich sytuacjach, prawda leży mniej więcej pośrodku. Już sam Jan Karski, którego nie da się posądzić o „materialistyczną interpretację”, pisał, że „członek zbrojnego Podziemia, pomijając to, że mógł wpaść i narażał się na to wszystko, co wiązało się ze schwytaniem przez gestapo, korzystał z przywilejów nieosiągalnych dla reszty ludności polskiej” (Karski 2014, s. 82). Zanim jednak z tych przywilejów można było skorzystać, choć też nie dla wszystkich były one dostępne, trzeba było wejść do tego podziemia. A żeby to zrobić, najpierw należało tego zwyczajnie chcieć.

Katalogu motywów, którymi kierowali się chętni do pracy w konspiracji, nie da się ograniczyć do kilku prostych haseł. Decyzje niejednokrotnie dojrzewały w ludziach długimi miesiącami, a na tę ostateczną mógł się składać cały szereg wydarzeń i przemyśleń. Wymieńmy więc te najczęściej spotykane w źródłach motywy: (1) kontynuacja walki rozpoczętej 1 września 1939 r.; (2) poczucie odpowiedzialności za kraj; (3) nienawiść do okupanta, pragnienie zemsty; (4) funkcjonowanie w środowisku związanym z konspiracją, tradycje rodzinne. Świadomie pominęliśmy tu patriotyzm, uznając go za element składowy każdego z tych czterech punktów.

Jest jednak coś jeszcze – coś, co trudno wskazać jako konkretny motyw, a bardziej jako być może nie zawsze uświadomioną potrzebę, którą Stanisław Likiernik „Stach”, żołnierz Oddziału Dyspozycyjnego „A” Kedywu Okręgu Warszawskiego, określa jako „coś, co zmieniało człowieka ze szczutej zwierzyny w stronę walczącą, co »czyniło człowiekiem«” (Likiernik 26.07.1971, s. 2). Ponieważ uznajemy to za być może najważniejszą ze wskazanych pobudek, pozwalającą najpełniej zrozumieć podziemie jako zjawisko, na razie odsuniemy ją na bok i zajmiemy się czterema pierwszymi. Dla zachowania spójności wyводу ograniczymy się do Warszawy i Armii Krajowej, zdając sobie jednocześnie sprawę, że sięgnięcie do historii członków innych organizacji, na innych terenach, mogłoby przynieść nam odmienne wnioski.

Punkt pierwszy wydaje się być najbardziej oczywisty. Wiele osób nie chciało przyjąć do wiadomości klęski wrześniowej, zdjęcie zaś munduru nie równało się dla nich zdjęciu z nich obowiązku dochowania wierności złożonej przysiędze. Tak rozpoczęli swoją organizacyjną pracę: Antoni Bieniaszewski „Antek”, Michał Bylina „Michał” i Zbigniew Lewandowski „Szyna”, wszyscy trzej związani

w pewnym momencie z Kedywem OW. Ten ostatni, opisując moment, w którym przyjęto go do konspiracji (listopad 1939 r.), wspominał, że kiedy poproszono go o złożenie przysięgi, „doszło do małej kontrowersji – odparłem bowiem, że jako oficer służby czynnej składałem już przysięgę i nie czuję się z niej zwolniony” (Lewandowski 1985, s. 56). Niekiedy początki „kariery spiskowca” wiązały się z otrzymaniem rozkazu. Tak stało się w przypadku powstania Tajnej Organizacji Wojskowej, do początku 1943 r. współpracującej, a potem włączanej w szeregi AK, na której czele stanął Jan Mazurkiewicz, późniejszy „Radosław”, który 17 września 1939 r. w Stanisławowie otrzymał od wysłannika gen. Wacława Stachewicza, szefa Sztabu Naczelnego Wodza, rozkaz utworzenia TOW.

Wydaje się, że nie mała część tzw. starych konspiratorów, czyli tych, którzy swoją pracę zaczynali w 1939/1940 r., w dużej mierze kierowała się właśnie przekonaniem, że ich wojna dalej trwa. Całkowitej pewności nie mamy i mieć nie możemy – i to z co najmniej dwóch powodów. Przede wszystkim brakuje nam do tego materiałów źródłowych, przez co skazani jesteśmy na pojedyncze opowieści, a po drugie – trudno oddzielić chęć kontynuowania walki od następnego punktu naszej wyliczanki, czyli odpowiedzialności za ojczyznę. Doskonale widać to na przykładzie kolejnego oficera TOW oraz Kedywu OW, Tadeusza Wiwatowskiego „Olszyny”, żołnierza 4. Dywizjonu Artylerii Ciężkiej we wrześniu 1939 r. Do Warszawy wrócił w październiku, ale już w listopadzie, najprawdopodobniej za sprawą kolegi z lat szkolnych, związał się z TOW. Świeże doświadczenia wojenne niewątpliwie miały więc jeszcze wpływ na niego. Ale nie tylko one. Likiernik, od listopada 1943 r. podwładny Wiwatowskiego w Oddziale Dyspozycyjnym „A”, wspominając po latach swoich kolegów oraz dowódców o „Olszynie” mówił, że „rozumiał całokształt sytuacji i reprezentował podejście wyrozumowane. Czynił to, co czynił z obowiązku Polaka, a nie spontanicznie, odruchowo” (Likiernik 26.07.1971, s. 2).

Jeszcze wyraźniej poczucie obowiązku wobec kraju widać w podejściu Józefa Romana Rybickiego „Andrzeja”, komendanta warszawskiego TOW od czerwca 1941 r. do marca 1943 r., a od listopada 1943 r. szefa Kedywu OW. „Dla Rybickiego udział w walce zbrojnej był spełnieniem obowiązku wobec państwa, które wpadło w niewolę, spłaceniem długu za 20 lat wolności i możliwość pracy w niepodległym kraju”, notował Tomasz Strzembosz, dodając jednocześnie, że w jego ocenie takie podejście mogło nawet dominować u dużej części osób nad uczuciem nienawiści do Niemców (Rybicki 12.05.1977, s. 2).

Wydaje się, że dzisiaj trudno byłoby to udowodnić, tym bardziej, że pragnienie zemsty pojawia się w niemałej części relacji dotyczących okresu okupacji – i to pisanych nie tylko przez konspiratorów. Chęć rewanżu dotyczyła zarówno bezpośrednich krzywd, jak np. śmierć ojca albo przyjaciela, jak i zbrodni, którymi żyło całe społeczeństwo, żeby wspomnieć tylko mordy w Wawrze, Palmirach czy powieszenie 11 lutego 1944 r. dwudziestu siedmiu więźniów Pawiaka na balkonie ruin domu przy ul. Leszno. Co warte podkreślenia wśród relacji ponad pięćdziesięciu byłych żołnierzy Kedywu OW w zaledwie kilku przypadkach jako przykład zbrodni, za którą ktoś chciał się zemścić, podano los Żydów. Wśród tych wyjątków znaleźli się Likiernik oraz Stanisław Aronson – obaj z żydowskimi korzeniami. Motywacja Aronsona jest jednak szczególna, dotyczyła bowiem również straty całej rodziny.

Niezwykłe wyraźnie motyw zemsty pojawia się w historii innego żołnierza

Oddziału Dyspozycyjnego „A” – Zbigniewa Arta „Romana”, więzionego w Auschwitz w latach 1940-1942. Po wyjściu na wolność spotkał w Warszawie Władysława Bartoszewskiego, którego poprosił o pomoc w znalezieniu kontaktu z konspiracją: „Art chciał zabijać Niemców, to tylko w konspiracji go interesowało, to było jego wielką potrzebą wewnętrzną, dlatego też zależało mu na przydziale do oddziału już walczącego” (Bartoszewski 3.02.1971, s. 1). Za wszystkim tym stało osiemnaście miesięcy spędzonych w obozie. Z psychologicznego punktu widzenia było to zachowanie całkowicie naturalne. Jak twierdził Józef Pieter, psycholog, stan „trwałego i silnego napięcia lękowego pod wpływem specyficznych sytuacji międzyludzkich” wymaga rozładowania w „odpowiedniej formie i dozie gniewu, wściekłości, żądzy zemsty, nienawiści” (Pieter 1971, s. 101). Wydaje się, że ta obserwacja w pewnym stopniu – w jakim nie wiemy i nie dowiemy się – dotyczyła dużej części polskiego społeczeństwa okresu okupacji.

Jednak tylko niektórzy mieli możliwość odreagowania napięcia w sposób bezpośredni. Wynikało to m.in. z samej natury konspiracji, która dla własnego bezpieczeństwa musi być względnie niewielka. Ci, którym udało się do niej trafić, zazwyczaj zawdzięczali to pomocy znajomych, rodzin – już związanych z organizacją. Bywało jednak i tak, że to nie oni prosili bliskich o pomoc, ale w pewnym stopniu zaczynali swoją pracę za ich namową czy chociażby pod ich wpływem. Niekiedy był to wpływ rodzinnych tradycji, sięgających czy to okresu pierwszej wojny światowej, czy dziewiętnastowiecznych powstań. Od takich wzajemnych inspiracji zaczynały swoją historię m.in. grupa żoliborska Oddziału Dyspozycyjnego „A” oraz mokotowski Oddział Dywersji Bojowej „19” Kedywu OW, składające się w dużym stopniu z grup kolegów z lat szkolnych.

Ten katalog motywów można dowolnie mieszać – w każdej pojedynczej historii jesteśmy bowiem w stanie wskazać wpływ różnych czynników. Nad jednymi ludźmi mieli kontrolę, inne były całkowicie od nich niezależne. W efekcie nie jesteśmy w stanie powiedzieć z całym przekonaniem, że „tak, to właśnie to sprawiło, że wszedł do organizacji”. Możemy jedynie próbować zrozumieć takie zachowanie. I tutaj wracamy do zdania Likiernika o stawaniu się człowiekiem.

### **Konspiracja jako odruch biologiczny?**

Niemiecki filozof i socjolog, Erich Fromm, twierdził, że to, czego człowiek boi się najbardziej, to izolacja. I to nie tyle fizyczna, co przede wszystkim moralna, dlatego też „poczucie związania z najnudniejszym choćby wzorem jest nieporównywalnie lepsze od pozostawania w samotności” (Fromm 2014a, s. 37). Tymczasem w Polsce pod okupacją samotność, tak fizyczna, jak i moralna, stawała się powszechnym zjawiskiem. Atrofia i anomia społeczna, rozpad instytucji, atomizacja czy w końcu po prostu utrata domu i bliskich, zjawiska wielokrotnie opisane przez historyków, socjologów czy psychologów, coraz mocniej wpychały ludzi w poczucie osamotnienia oraz towarzyszące im: lęk, strach oraz stres. W takich warunkach podziemie jawiło się więc jako miejsce, gdzie można otrzymać wsparcie, znaleźć ludzi myślących podobnie.

Stanisław Likiernik wspomina, że „grupa »Stasinka« [grupa żoliborska Oddziału Dyspozycyjnego „A” – S.P.] nie może być traktowana jak regularny oddział wojskowy. Nie był to oddział, a raczej »ferajna« – grupa ludzi pracujących razem, złączonych ze sobą zaufaniem, przyjaźnią, wspólnym celem i wspólną

zabawą". Alicja Pniewska-Sieciechowicz, przesiedlona w czasie wojny z Łodzi do Warszawy, w podziemiu związana z kobiecym oddziałem minerskim Kedywu OW, przyznaje z kolei, że konspiracja stała się dla niej w obcym mieście, wśród obcych ludzi pierwszym punktem zaczepienia (Pniewska-Sieciechowicz, 9.07.2012). Stanisław Jankowski zaś, cichociemny, pracownik Oddziału II KG ZWZ/AK, z organizacyjnego przymusu pozbawiony regularnych kontaktów z rodziną i przyjaciółmi, pisał, że czuł się bezpieczniej na odprawach i w melinach, niż gdy spotykał przypadkiem na ulicy znajomego. Wojna i okupacja, choć zabrały mu wiele bliskich osób oraz miasto, w którym się wychował, dały mu, właśnie za sprawą konspiracji, „[...] wiarę w ludzi, w ich odwagę, ufność, przyjaźń. Nie zamieniłbym tamtych dni. Najbogatszych dni mojego życia. Wypełnionych prawdziwym człowiekiem” (Jankowski 1980, s. 229).

Podobny obraz podziemia zmniejszającego poczucie osamotnienia jest wspólny dla dużej części żołnierzy nie tylko Kedywu OW, ale całej podziemnej Warszawy, a może nawet Polski – o czym pisał Karski. W towarzystwie innych konspiratorów ludzie czuli się swobodniej, czuli się wolni. Poszukiwanie wolności, jak twierdził Fromm, jest z kolei niczym innym, jak reakcją biologiczną organizmu, dla którego wolność jest warunkiem koniecznym do prawidłowego rozwoju psychicznego. Dla lepszego wyjaśnienia problemu posłużmy się bezpośrednim cytatem: „Przetrwanie człowieka dokonuje się nie tylko na płaszczyźnie fizycznej, lecz również psychicznej. Potrzebna jest mu określona równowaga psychiczna, w przeciwnym bowiem razie traci zdolność funkcjonowania; dla człowieka wszystko co niezbędne jest dla utrzymania równowagi, ma takie samo żywotne znaczenie jak to, co służy fizycznej równowadze jego organizmu” (Fromm 2014b, s. 218).

Żeby móc właściwie funkcjonować, człowiek potrzebuje układu odniesienia, stałych idei i wartości. I podziemie w pewnym stopniu zapewniało to. W momencie rozpadu instytucji, słabnących więzi społecznych i zanikających zasad, którymi wcześniej ludzie mogli się kierować, konspiracja stawała się jedną z niewielu alternatyw. Alternatywą stanowiącą formę obrony przed zagrożeniem dla własnego życia i zdrowia – fizycznego i psychicznego, kiedy organizm, to znowu Fromm, reaguje albo ucieczką, albo agresją obronną. Kto mógł, uciekł z Polski jeszcze w 1939 r. Później było to w zasadzie niemożliwe, chyba że za ucieczkę uznamy próbę unikania wszelkich możliwych zagrożeń. Pozostawała więc obrona – podziemie.

Jest jednak w tym rozumowaniu pewna luka. Jeśli bowiem praca w organizacji miałyby być formą ratunku dla własnej psychiki, to czemu nie związało się z nią więcej osób? Wpływ na taką, a nie inną liczebność podziemia miały oczywiście względy bezpieczeństwa, nie każdego można było przyjąć, ale takie „techniczne” wyjaśnienie zdaje się być niepełne. Niemożliwością bowiem jest, aby wszyscy Polacy chcieli iść do konspiracji. Oczywiście nie potrafimy podać pełnej liczby osób zaangażowanych w działalność podziemia, ta bowiem obejmuje nie tylko osoby zaprzysiężone, ale także te współpracujące okazjonalnie, pomagające zdobyć odpowiednie dokumenty, materiały, oddające swoje mieszkania na meliny. Jednak pewne ogólne szacunki istnieją. Dla samej Warszawy Tomasz Szarota wyliczył to na 180 tys. ludzi (Szarota 1988, s. 544), z czego zaledwie 1/3 miała być zaprzysiężona. Jednak obok tej grupy było jeszcze ok. 30-60 tys. zaliczanych do tzw. „Warszawy haniebniej”, gromadzącej wszelakie

męty społeczne, oraz 360-420 tys. osób, które chciały przeżyć. Czym więc kierowały się te osoby? Dlaczego nie związały się z żadną organizacją konspiracyjną? Uniemożliwiało im to strach, chłodna kalkulacja zysków i strat, a może do poczucia się lepiej wystarczała im sama świadomość tego, że jest jakieś podziemie? Wydaje się, że w przypadku tej największej grupy lepiej sprawdza się teoria Pitirima A. Sorokina, przywoływana przez Marcina Zarembę (Zaremba 2012, s. 97), zgodnie z którą człowiek biedny, poniżony, a takim stała się niemała część polskiego społeczeństwa doby okupacji, skupia się na przetrwaniu. Ale znowu ona nie pasuje do konspiracji, funkcjonującej w takiej samej rzeczywistości – głodnej, chłodnej i pełnej terroru.

Udzielenie odpowiedzi na rodzące się wątpliwości może pomóc w zrozumieniu problemu zajmującego obecnie wielu badaczy, czyli dlaczego więcej Polaków nie udzieliło pomocy Żydom. Jak zauważa Dariusz Libionka, wśród blisko sześciu tysięcy Polaków odznaczonych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” wielu nie było związanych z konspiracją, motywy zaś ich działania były złożone (Libionka 2017, s. 257). Czemu oni nie wiązali się z podziemiem? Czemu ci będący w podziemiu nie pomagali? Czy konspiracja dawała im w sferze psychicznej coś, czego nie mogło im zapewnić pomaganie Żydom?

Jest to jednocześnie problem szerszy, wykraczający poza granice Polski i samej drugiej wojny światowej. Problem, który znakomicie zdiagnozował Albert Camus w *Upadku*, gdzie główny bohater mówi w pewnym momencie:

„Przyjechałem do południowej strefy z zamiarem zasięgnięcia wiadomości o ruchu oporu. Ale gdy na miejscu zobaczyłem, jak rzecz wygląda, zawahałem się. Przedsięwzięcie wydało mi się trochę szalone i, żeby rzec prawdę, romantyczne. Myślę jednak przede wszystkim, że akcja podziemna nie odpowiadała ani mojemu temperamentowi, ani upodobaniu do powietrznych szczytów. Odnosiłem wrażenie, że żądają ode mnie, bym tkał przez dnie i noce w piwnicy, czekając, aż dzicz przyjdzie mnie wyrzucić, zniszczy wpierw moją tkaninę, po czym zaciągnie mnie do innej piwnicy, by zatłuc na śmierć. Podziwiałem tych, którzy oddawali się temu głębinowemu bohaterstwu, ale nie potrafiłem ich naśladować”.

Książkami o podziemiu, o jego blaskach, a rzadziej o cieniach, zapełniono już niejeden regał biblioteczny. Ale choć znamy przebieg wielu akcji, struktury, choć poznajemy biografie kolejnych postaci, to ciągle nie do końca rozumiemy ich decyzje, ich bohaterstwo oraz jego limity.

Korekta językowa: Beata Bińko

## **Bibliografia:**

- Bartoszewski W., 3.02.1971, Archiwum Akt Nowych, akta Tomasza Strzembosza, sygn. 409, relacja spisana przez Strzembosza T.  
Fromm E. (2014a), *Ucieczka od wolności*, tłum. Zimiłscy O. i A., Warszawa.  
Fromm E. (2014b), *Anatomia ludzkiej destrukcyjności*, tłum. Karłowski J.,

Poznań.

Jankowski J. (1980), *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, t. I, Warszawa.

Karski J. (2014), *Tajne państwo. Opowieść o polskim Podziemiu*, Kraków.

Kochanowski J. (2016), *Cywilne strategie przetrwania 1939-1945*, [w:] „Fikcyjna rzeczywistość”. *Codziennosc, swiaty przezywane i pamiec niemieckiej okupacji w Polsce*, red. Traba R., Woniak K., Wolff-Powęska A., Warszawa-Berlin.

Korboński S. (1981), *Polskie Państwo Podziemne jako zjawisko socjologiczne*, „Zeszyty Historyczne”, nr 58.

Korboński S. (2005), *W imieniu Rzeczypospolitej*, Warszawa-Waszyngton.

Lewandowski Z. (1985), *Wierni przysiędze*, [w:] Nakielski H., *Biret i rogatywka*, Warszawa.

Libionka D. (2017), *Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie*, Lublin.

Likiernik S., 26.07.1971, AAN, ATS, sygn. 45, notatka z rozmowy spisana przez Strzembosza T.

Pieter J. (1971), *Strach i odwaga*, Warszawa.

Pniewska-Sieciechowicz A., 9.07.2012, Muzeum Powstania Warszawskiego, Archiwum Historii Mówionej, relacja spisana przez Rafalską-Dubek M.

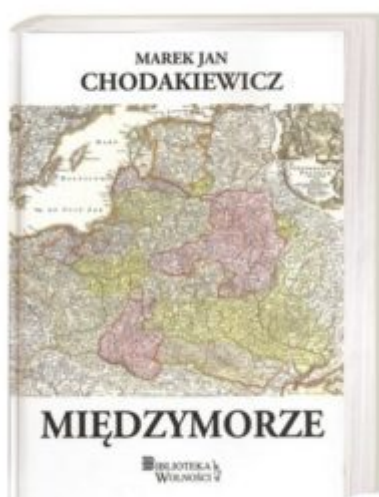
Rybicki J.R., 12.05.1977, AAN, ATS, sygn. 45, relacja spisana przez Strzembosza T.

Szarota T. (1988), *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Warszawa.

Zaremba M. (2012), *Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków.

---

## Wojny koncepcyjne historyków. Na marginesie książki Marka Jana Chodakiewicza o „Międzymorzu”





## **Wojny koncepcyjne historyków.**

### **Na marginesie książki Marka Jana Chodakiewicza o „Międzymorzu”**

Jednym z istotnych elementów sporów toczonych w przestrzeni publicznej są znaki, pojęcia czy wyobrażenia odwołujące się do koncepcji wypracowanych wcześniej przez naukowców, myślicieli, filozofów, ale także praktyków. Niejednokrotnie wokół tego samego pojęcia narasta wiele równoległych znaczeń, co powoduje nie tylko spory pomiędzy profesjonalistami, ale również prowadzi do istotnych różnic politycznych. Przykładem takiego konceptu są projekty integracji regionalnej w Europie Środkowo-Wschodniej dyskutowane w Polsce i regionie praktycznie przez cały XX wiek w kraju i na emigracji. Obecnie ten koncept odżywa i z jednej strony nabiera nowych znaczeń, z drugiej wpisuje się w pewną tradycję myślenia, nieoczywistą dla wielu jego zwolenników. Na tym przykładzie można świetnie pokazać, jak historycznie toczono spory o kwestie fundamentalne, takie jak: demokracja, współżycie narodów, dobre sąsiedztwo, integracja polityczna itd. Można też pokazać, jak różne narracje mogą towarzyszyć różnym tradycjom myślenia o tych kategoriach i jak to jest przyswajane we współczesnym dyskursie publicznym.

Koncept, o którym mowa, pojawia się obecnie na ustach polityków, pisarzy, publicystów. W ciągu ostatnich lat stanowił raczej domenę historyków, którzy poprzestawali na badaniu jego korzeni, przypominaniu autorów, wyliczaniu możliwych konfiguracji regionalnych, szukaniu uzasadnienia dla tych koncepcji. W ten sposób do tematu podchodzili na emigracji Piotr Wandycz i Oskar Halecki, a po 1989 r. w Polsce: Józef Łaptos, Marian Stanisław Wołański czy piszący te słowa. Pomysł takiego przeorganizowania Europy Środkowej, żeby zapewniał stabilność i dobrobyt (jak w Unii Europejskiej), pobudzał wyobraźnię, szczególnie kiedy brało się pod uwagę wojenne hekatombę i miliony wygnańców przemierzających region w poszukiwaniu schronienia w połowie XX wieku. Jednak pomimo owej fascynacji wymienieni autorzy starali się trzymać pewnych standardów uprawiania historii, widząc w niej doskonały przedmiot do namysłu.

Reguł tych nie muszą przestrzegać pisarze. I wizja regionu, chociażby jako „Międzymorza”, pojawia się w polskiej literaturze. Nieco mylny może być taki właśnie tytuł opowiadania Stefana Żeromskiego, które nie ma nic wspólnego z geograficznym międzymorzem, a skupia się de facto na Pomorzu. Obecnie tytułu tego używa Ziemowit Szczerek, opisując wędrówki po krajach regionu, rozprawiając się z jednymi stereotypami i proponując nowe, np. że Węgrzy wcale nie są zwolennikami określenia „Polak-Węgier dwa bratanki”, a Rumunia to taka południowa Polska. Taka literatura nawiązuje zresztą do tekstów Claudia Magrisa, Andrzeja Stasiuka czy Jurija Andruchowycza, którzy podobnie uważali, że prawdziwie interesujący świat podróźniczy to właśnie Europa Środkowa. W tym przypadku sprawa jest jasna. Mamy do czynienia z konstrukcją literacką, impresją, osobistym przekonaniem i oceną. Książki te czyta się jak dobrą literaturę.

Kłopot zaczyna się jednak, kiedy „Międzymorze” przestaje być obiektem obserwacji i inspiracją, ale staje się konstruktem budowanym w określonym

celu politycznym. W pierwszej kolejności przychodzi mi do głowy uwaga Krzysztofa Szczerskiego, politologa i szefa kancelarii prezydenta Andrzeja Dudy (wcześniej doradcy ds. międzynarodowych), że Unia Europejska jest utopią, a dokładnie sama integracja europejska, za to współpraca regionalna suwerennych narodów Europy Środkowo-Wschodniej już nie. Co na to historia? Kiedy w dziejach narody Europy Środkowo-Wschodniej skutecznie ze sobą współpracowały i co z tego wynika dla nas współcześnie? Nie jestem jedyną osobą, która sobie takie pytanie zadaje. Być może podobna kwestia nurtowała również Marka Jana Chodakiewicza, kiedy pisał książkę zatytułowaną właśnie Międzymorze (Warszawa 2017). Wymaga ona bardzo uważnej lektury i zdecydowanego komentarza.

Chodakiewicz zaczyna swoją książkę od katalogu deklaracji, czym jest „międzymorze” i czemu ma służyć jego publikacja. Zanim jednak przejdziemy do ich wyliczenia i zanalizowania, trzeba przyznać, że Chodakiewicz w całości ignoruje dorobek polskich historyków w tym zakresie. Nawet nazwisko Oskara Haleckiego, które pojawia się w przypisie, nie jest dla niego wystarczająco godne uwagi, a przecież to historyk, który jako pierwszy spróbował spojrzeć całościowo na dzieje Europy Środkowo-Wschodniej, co uczynił w dwóch fundamentalnych książkach o granicach europejskiej historii i kresach zachodniej cywilizacji. To, że od tego czasu upłynęło ponad półwieku, nie znaczy, że jest to literatura niegodna uwagi. Co więcej, została przypomniana w Polsce już w latach 90-tych między innymi za sprawą lubelskiego środowiska historyków, w tym imiennie prof. Jerzego Kłoczowskiego oraz Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej. Chodakiewicz być może nie zna tej spuścizny, a być może uznał ją za nieistotną z punktu widzenia swoich rozważań. Podobnie nie cytuje innych historyków, którzy zajmowali się tą przestrzenią, zapewne z powodów jak wyżej. Niemniej jego książka zyskała prestiżową nagrodę „Przeglądu Wschodniego” i tym samym autor dołączył do grona tak wybitnych historyków, jak: Daniel Beauvois, Andrzej Nowak, Bohdan Osadczuk, Natalia Lebediewa, Jarosław Hrycak, Norman Davies, Andrzej Grajewski, Jerzy Kłoczowski, Grzegorz Motyka, Jan Jacek Bruski, Timothy Synder, Robert Conquest, Anne Applebaum, Richard Pipes czy Roman Szporluk. Lista jest wybiórcza, ale pokazuje, jak różnorodni autorzy byli nagradzani. Więc chociażby z tego względu nie można książki Chodakiewicza zignorować. Został on zaliczony do grona ważnych autorytetów, właśnie za książkę o „Międzymorzu”.

Brak wspomnianych wyżej cytowań przestaje dziwić, kiedy zagłębimy się – w niełatwą dodajmy – lekturę książki. Chodakiewicz używa bowiem historycznego terminu, którym jest „Międzymorze”, na określenie obszaru między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Jego geografie zarysowuje następująco: „Na północy granica podąża wybrzeżem Bałtyku od ujścia Wisły, a następnie Niemna aż do Zatoki Fińskiej, gdzie skręcana południe, a następnie biegnie przez jezioro Pejpus i rzekę Wielką. Dalej idzie przez obszar, gdzie zakręca Dźwina, skąd wypływa Świr, a Berezyna, Soż i Desna wpadają do Dniepru, spływającego do Morza Czarnego. Granica biegnie brzegiem tego ostatniego aż do delty Dunaju, po czym skręca ostro na północ i wzdłuż Prutu zmierza ku Dniestrowi i Bugowi, znów skręca na zachód, napotyka Wisłę i zamyka krąg u jej ujścia do Bałtyku” (s. 49).

Jaki jest cel tego zabiegu? Jeśli ma być to cel naukowy, to zabieg jest

chybiony, bo ignorując dorobek innych naukowców, autor ignoruje istotną część nauki. Historyczny obszar „Międzymorza” jest rozleglejszy i dużo bardziej przesunięty na Zachód, a na południowym zachodzie sięga Adriatyku. Może więc cel autora jest skromniejszy – utrwalenie jakiejś formy pamięci o „Międzymorzu”, przywrócenie go współczesnej debacie? Jeśli tak, to nie jest to „Międzymorze” dyskutowane w tradycji polskiej od okresu międzywojennego. Jest to inne „międzymorze”, a geograficznie jest to obszar bliższy koncepcyjnie pojęciu polskich Kresów, z dominującą ludnością litewską, białoruską i ukraińską. Skoro jednak chodzi o „Kresy”, to dlaczego autor nie używa tego pojęcia, ale zastępuje je właśnie historycznie warunkowanym „międzymorzem”? Ponownie ignorancja czy jednak spychanie w cień niewygodnej narracji? A może jest to zabieg świadomie amputujący zachodnią część Międzymorza z wyobraźni politycznej i społecznej? Jaki byłby cel takiego świadomego zabiegu odwrócenia pojęć? Otóż twierdzę, że jest to właśnie deklaracja wojny koncepcyjnej, wojny o kształt tej konkretnej koncepcji i jej społeczny odbiór.

Diagnozę wypada udowodnić, co w przypadku myśli politycznej jest szczególnie trudne. Zaczniemy więc od tego, czym „międzymorze” jest w tradycji polskiego myślenia, aby zrozumieć istotę dokonanego zabiegu.

Po pierwsze, „międzymorze” jest definicją obszaru geograficznego między trzema morzami: Bałtyckim, Czarnym i Adriatykiem. Chodakiewicz jako pierwszy „amputuje” Adriatyk, sugerując „dwuwymiarowość” obszaru. Świadom jest istnienia innych koncepcji, ale widzi je jako obszar ekspansji niemieckiej (Mitteleuropa) albo rosyjskiej (za pomocą idei „Słowiańszczyzny”). Sam pisze: „w odróżnieniu od wrogich koncepcji imperialnych powstające na miejscu idee geopolityczne w większości nawiązują do lokalnej spuścizny Międzymorza. W okresie międzywojennym na przykład zachwalano rozwiązanie dla Międzymorza znane jako ABC – od mórz: Adriatyckiego, Bałtyckiego i Czarnego. To maksymalistyczne podejście zakładało luźne zorganizowanie wszystkiego, co było pomiędzy Związkiem Sowieckim i Niemcami w granicach sprzed 1939 roku”. Zatem Chodakiewicz „zachwała” inne „rozwiązanie” dla „międzymorza”, sytuując je jedynie między dwoma morzami. I zdaje sobie sprawę z historycznego kontekstu, w jakim rozważano koncepcję „międzymorza”. Ale jak dalej pisze: „Później projekt uległ redukcji do pomysłu federacji polsko-czechosłowackiej, który ujawnił się w Londynie podczas wojny. Trójkąt Wyszehradzki (albo Czwórka czy też Grupa) złożony z Polski, Węgier, Słowacji i Czech jest współczesnym rozwinięciem tej idei” (s. 13). Nie można kwestionować prawa naukowca do skrótu czy do syntetyzowania naszej wiedzy. Również dotyczy to koncepcji. Tyle, że skoro „międzymorze” miało mieć luźny charakter, to nie może mieć nic wspólnego z pomysłem federacji czy przynajmniej konfederacji polsko-czechosłowackiej, innymi słowy ścisłego związku dwóch państw. Federacji, dla której grupa kierowana przez gen. Sosnkowskiego przygotowywała w czasie wojny akt konstytucyjny. Projektem współpracy w „miękkich” obszarach, jak kultura i nauka, jest obecna Grupa Wyszehradzka, chociaż jej przeznaczeniem miało być również uzgadnianie kwestii współpracy międzynarodowej w zakresie polityki czy ekonomii. Jak to działa wewnątrz UE, to osobna sprawa. Dla Chodakiewicza te koncepcje się zlewają i jedno, w czym można byłoby się z nim zgodzić, to fakt, że wszystkie dotyczą jakiejś formy organizacji regionalnej. Tyle, że nie wszystkie można nazwać „międzymorzem”.

Tutaj rodzi się uwaga odnośnie do aktualnej debaty publicznej – skoro mamy „międzymorze” dwóch mórz, to zapewne dlatego powstała koncepcja „Trójmorza”, forsowana m.in. przez prezydenckiego ministra Krzysztofa Szczerskiego, która wymagałaby osobnego komentarza.

Po drugie, „międzymorze” wyrasta w polskiej tradycji politycznej z przesłanek analizy bezpieczeństwa okresu międzywojennego, a nawet i okresu zaborów. Uzasadniano to prostym faktem, że Polska izolowana w regionie jest łatwym łupem dla rosnących w siłę sąsiadów. Doświadczenie wojny polsko-bolszewickiej, dojście do władzy Hitlera, jedynie wzmagają to przekonanie. Takie właśnie myślenie było motorem do budowania sojuszy wojskowych w regionie, choć bezskutecznie. Na tej bazie powstawały koncepcje właśnie „międzymorza” (piłsudczycy – patrz prace Piotra Okulewicza) czy „Trzeciej Europy” (Józef Beck i piłsudczycy). W czasie wojny powstawały i działały kluby „Intermarium” (= „międzymorze”), wydawano pismo o tej nazwie, kultywowano więzi z innymi uchodźcami z naszej części Europy. Na marginesie można dodać, że działalność ta miała powiązania i z prometeizmem (koncepcją rozsądzenia Rosji sowieckiej dzięki rozbudzeniu dążeń do samostanowienia narodów zamieszkujących ten kraj), ale również z działalnością wywiadu brytyjskiego, który traktował to jako świetne narzędzie informacyjne (wspomina o tym np. Stephen Dorril w znakomitej książce o MI6). Wracając do naszej analizy, „okaleczenie” „międzymorza” z jego zachodniej części i sprowadzenie go do pasa oddzielającego Rosję od reszty Europy nie liczy się z żadnym z wymiarów geostrategicznych, które wcześniejsi myśliciele brali pod uwagę. A wymiary te są proste do zrekonstruowania: zsumowana liczba ludności (przed wojną to 100-110 mln mieszkańców), granice ułatwiające obronę, strategiczne linie komunikacyjne, połączony potencjał gospodarczy (szczególnie pod kątem przemysłu zbrojeniowego, ale również zaplecza pozwalającego długo i sprawnie prowadzić działania wojenne).

Po trzecie, istotnym elementem wszelkich projektów regionalnych było szukanie wspólnoty doświadczenia i podobieństw kulturalnych poszczególnych krajów i zamieszkujących je narodów. Tutaj z reguły było najtrudniej. Oskar Halecki w polemice z Arnoldem Toynbeem posłużył się pewnym użytecznym zabiegiem, który wydaje się lepiej uzasadniony i dużo bardziej przekonujący niż propozycja M. Chodakiewicza. Otóż wskazał na istotne elementy tradycji religijnych i kultury politycznej (przykładowo tradycje demokracji), które odróżniały Europę Wschodnią od jej środkowej części. Przy czym w tej części środkowej widział podział również na dwa – wschód tego środka i zachód. Państwa „międzymorza” znalazły się we wschodniej części środka Europy. Ale ciążyły w tej koncepcji do Europy i miały do tego moralne prawo. Halecki walczył z mapą i trzeba go uznać za wytrawnego i wymagającego szermierza. Pojedynek z Toynbeem, jeśli wziąć pod uwagę objętość ich książek, był pojedyńkiem nierównym. Co więcej, nic nie ujmuje rzetelności warsztatu historycznego Haleckiego, cel jego pracy był polityczny: znaleźć historyczne uzasadnienie europejskości Polski i krajów środkowej Europy. I ma w tym zakresie istotne zasługi.

Jaką rolę odgrywa czynnik kulturalny w książce M. Chodakiewicza? „Wiedza o Międzymorzu – pisze – wymaga biegłości w sprawach jego części składowych”. Jak M. Chodakiewicz definiuje owe części, już wiemy. Jak pisze dalej,

„zazwyczaj badacze skupiają się na odmiennościach etnicznych, prawdziwych, »zastarzałych nienawiściach«. Tu zwróciłbym uwagę, że badacze wcale nie skupiają się na owych „odmiennościach etnicznych”, które są oczywiste i badane jako takie, natomiast tacy badacze, jak Haleckiczy Wandycz wskazywali na specyficzność tego regionu wcale nie ze względu na mozaikę etniczną i narodową. Tym bardziej w dyskursie politycznym o „międzymorzu” chodziło właśnie o znalezienie takiej płaszczyzny, gdzie różnice etniczne nie odgrywałyby istotnej roli. Wydaje się, że zdanie Marka Chodakiewicza o tych odmiennościach ma nas kierować w tę samą stronę: „Rozważając odmienności etniczne – pisze – będziemy również podkreślać pokrewieństwa kulturalne i inne zjawiska pozytywne (np. w gospodarce), które raczej mogą jednoczyć, niż dzielić narody regionu. Będziemy zgłębiać specyfikę i swoistości każdego z państw narodowych oraz sugerować sposoby ułatwiające przewyciężenie odmienności, a przynajmniej zmniejszenie ich znaczenia z korzyścią dla współpracy”. O ile zmniejszenie znaczenia odmienności narodowych wydaje się celem chwalebny i zrozumiałym, o tyle nie znajdujemy wyjaśnienia, na czym miałyby polegać postulowane przez autora „przewyciężenie odmienności [narodowych]”. Co wynika z tych założeń? Otóż wynika, że „winniśmy więc rozróżniać między zwykle konstruktywnym nacjonalizmem kulturalnym a potencjalnie zgubnym „etnonacjonalizmem” (s. 14). Autor niestety nie proponuje nam definicji „nacjonalizmu kulturalnego” czy „etnonacjonalizmu”. Nie wiemy również, co dokładnie ma na myśli, używając sformułowań „zwykle konstruktywny” (o tym pierwszym) i potencjalnie zgubny (o tym drugim). Wyczuwamy jednak, i zapewne to jest intencją autora, że „nacjonalizm kulturalny” jest sympatyczny (choć miewa problemy z konstruktywizmem), a „etnonacjonalizm” już nie tak sympatyczny, choć zgubny jest tylko potencjalnie, a nie rzeczywiście.

Otóż oba rodzaje nacjonalizmów w ujęciu autora mają do odegrania istotną rolę. „Ten pierwszy jest niezbędny do odbudowy każdego narodu po zarazie komunizmu”. A zatem „nacjonalizm kulturalny” nie tylko jest sympatyczny, ale również jest konieczny dla każdego szanującego się narodu tej części Europy. Tymczasem „ten drugi grozi przeobrażeniem starań o odbudowę w konflikt lokalnych etnosów, co poważnie zagraża Międzymorzu jako projektowi nacjonalizmów kooperujących”. To niezmiernie istotny fragment. Po pierwsze, dowiadujemy się, że zgubność „etnonacjonalizmu” to inaczej zagrożenie dla starań o odbudowę. Chciałoby się zapytać, jaką odbudowę lub odbudowę czego? Chyba raczej nie komunizmu, bo to jak już wiemy zaraza. Może więc chodzi o odbudowę „międzymorza”? Tutaj pojawia się pewien kłopot, bowiem „międzymorze” zawsze było konstrukcją intelektualną, nigdy nie wyszło poza ramy projektowe. Co więcej, utworzenie Unii Europejskiej i włączenie do niej gros państw regionu w jakimś sensie unieważniło ten projekt. Ale skoro chcemy odbudować „międzymorze” to dotyczy to powrotu do dyskusji, czy chcemy, aby w naszej części powrócił układ geopolityczny znany z okresu międzywojennego? Być może odpowiedź jest w końcowej części tego zdania, które definiuje „Międzymorze jako projekt nacjonalizmów kooperujących”. Obok więc nacjonalizmu kulturalnego i etnonacjonalizmu pojawia się pojęcie nacjonalizmów kooperujących. I chyba nie jest tu najważniejsze, że mogą również istnieć nacjonalizmy niekooperujące, czyli albo uprzejmie się tolerujące, albo – jak to z nacjonalizmami – usiłujące się pozbyć innych nacjonalizmów. Ważne jest zdefiniowanie „międzymorza” jako współpracy nacjonalizmów. Co więcej, jest to

perspektywa, w której bez względu na kształt „międzymorza” istotą jakiegokolwiek konstrukcji w regionie jest nacjonalizm. Opatrzony jakimś epitetem, ale jednak nacjonalizm. Autor odrywa więc cały projekt od dyskusji o budowaniu współpracy jako metodzie na przezwycięzenie nacjonalizmów, demokratyzację czy zabezpieczenie integralności tej przestrzeni.

W historycznej debacie, której uczestnikiem był chociażby Piotr Wandycz, obecne było rozróżnienie pomiędzy „związkiem państw” i „związkiem narodów”. Miało to swoje praktyczne konsekwencje i w tym sensie nieco generalizując, Sikorski był bliższy tej pierwszej koncepcji, podczas gdy piłsudczycy byli zwolennikami tego drugiego określenia. W praktyce i jedni, i drudzy chętnie rozgrywali np. Słowaków przeciwko Czechom. Czy „współpraca nacjonalizmów” postulowana przez Chodakiewicza to właśnie „związek narodów”? Nie, nie mówimy tu o związku, ale jedynie o nieokreślonej współpracy. Naród (na pewno w rozumieniu z pierwszej połowy XX wieku) i współczesny nacjonalizm po doświadczeniach II wojny światowej to dwa różne pojęcia. Pomimo tego, że nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć na podstawie tekstów tych fundamentalnych pytań, to budowanie typologii nacjonalizmów i ich wartościowanie jest kolejnym zabiegiem perswazyjnym stosowanym przez autora. Ma on na celu nobilitację nacjonalizmu, skoro są takie jego rodzaje, które otwierają drogę do współpracy. Nobilitację za pomocą projektu uniwersalistycznego, którym historycznie było „międzymorze”. Ten zabieg rehabilitacyjny autor kontynuuje kilkanaście stron dalej, tym razem używając sformułowania „ruchy narodowe”. Ponieważ nie znajdujemy jasnego rozróżnienia pomiędzy nacjonalizmem a ruchem narodowym, można założyć, że w wielu warstwach są to pojęcia zbieżne, chociażby dlatego, że nacjonalizm jest dominującą ideologią tzw. ruchu narodowego. Tymczasem autor, oskarżając Zachód okresu zimnej wojny o „moskwocentryzm”, odkrywając, że zdominowany przez lewicę Zachód (s. 29-30) wytworzył specyficzną grupę anty-antykomunistów, którzy „lubili denuncjować ludzi z Międzymorza, w tym emigrantów do Stanów Zjednoczonych, jako niepoprawnych »reakcjonistów«, »faszystów«, a od lat 60-tych XX w. coraz częściej jako »antysemitów«”. A do tego „Sowieci wtórowali [lewicowemu Zachodowi – S.J.] upiornie identyczną propagandą. Ktokolwiek sprzeciwiał się komunistom, był »faszystą« i »reakcjonistą«”. Ale co gorsza: „Komunistyczna tajna policja wyreżyserowała liczne prowokacje, aby naznaczyć ruchy narodowe piętnem »nazizmu«. Infiltrowała podziemie działaczy narodowych i kręgi dysydenckie. Zakładała fałszywe organizacje narodowe, które ziały nienawiścią, rasizmem i antysemityzmem”. Wniosek zasadniczy z tego fragmentu jest taki, że ruch narodowy był zadenuncjowaną ofiarą propagandy i prowokacji, a na pewno nie był ani antysemicki, ani nie nienawidził, ani nie był rasistowski. Tutaj, podobnie jak w przypadku tytułowego „międzymorza”, mamy poważny kłopot semiotyczny – autor dokonuje kolejnej operacji chirurgicznej, tym razem na desygnacie pojęć „nacjonalizmu” i „ruchu narodowego”.

Dodatkowe światło do tych rozważań rzuca kolejny fragment (s. 37), w którym autor pisze, że „w Międzymorzu kwestia tożsamości narodowej jest bardzo zawikłana. Z grubsza do połowy XIX wieku większość ludzi miała tu tożsamość »miejscową«. Byli po prostu chłopami (zwykle nieświadomymi etnicznymi Rusinami), a ich najważniejszą ramą odniesienia były: religia (zwykle prawosławna), wioska i pan”. Pomijając już opisaną wcześniej identyfikację

geograficzną „międzymorza”, o której mówiliśmy wcześniej, mamy do czynienia z kolejną amputacją, której skalę nawet trudno ocenić na pierwszy rzut oka – jeżeli mówimy o obszarze od Tallina do Odessy, sprowadzenie identyfikacji mieszkańców tego regionu do „nieświadomych etnicznych Rusinów” jest w oczywisty sposób fałszywe. Pytanie zatem, z czego wynika i czemu ma służyć? Ponownie mamy do czynienia z ignorancją, czy jednak świadomym zabiegiem, który uniemożliwia właściwą rekonstrukcję struktury etnicznej regionu. A może to kolejne zawężenie regionu i samej koncepcji „międzymorza” wyłącznie do obszaru, gdzie zamieszkiwali „tutejsi Rusini”?

Mamy już zatem pewne rozeznanie, jaką wiedzą o badanym obszarze dysponuje autor i jak ten obszar definiuje, co w tej definicji jest istotne. Teraz przyjrzyjmy się, jak definiuje cele stawiane swojemu badaniu. Jako pierwszy cel wymienia fakt, że „trafia ono najbardziej od strony kulturalnej i ideologicznej w amerykański interes narodowy i kulturę polityczną jako dziedzic wolności i praw stanowiących rdzeń spuścizny polsko-litewsko-ruskiej Rzeczypospolitej” (s. 12). Zatem autor zajmuje się „międzymorzem”, bo „trafia ono w amerykański interes narodowy i kulturę polityczną”. Dowiadujemy się również, że tekst jest przeznaczony dla czytelnika amerykańskiego (w 2013 roku ukazała się angielska wersja tej książki zatytułowana Intermarium) albo też dla polskiego czytelnika, która jako instruktaż, jak wpływać na politykę amerykańską. „Po drugie – czytamy – jest to oś regionalna i brama zarówno ku Wschodowi, jak i ku Zachodowi”. Jest to o tyle ciekawe, że akapit dalej ten sam autor odnosi się krytycznie do niemieckiego konceptu Mitteleuropy jako „niemieckiego dominium i pomostu na Bliski Wschód”. Oś regionalna Wschód-Zachód, dla której „międzymorze” ma być bramą, już nie stanowi zagrożenia. Pytanie zasadnicze i uzasadnione, czy dlatego, że jest zbieżne z interesem amerykańskim? „Po trzecie – czytamy – ponieważ »międzymorze« jest najstabilniejszą częścią obszaru postsowieckiego (a także najswobodniejszą i najbardziej demokratyczną”. Trudno skomentować te słowa opublikowane w końcu w 2017 roku, jeśli przyjąć wykładnię geograficzną autora – czyżby rozumiał wojnę na Ukrainie jako przykład stabilizacji, a „demokratyczny” reżim na Białorusi jako wzór demokracji? Ale to nie koniec trzeciej przyczyny zajmowania się „międzymorzem”, otóż stabilizacja i panująca tu demokracja powinny zachęcić „Stany Zjednoczone do umocnienia tam swoich wpływów, aby użyć Międzymorza jako odskoczni do zajęcia się pozostałymi państwami postsowieckimi, włączając w to Kaukaz, Azję Środkową i samą Federację Rosyjską”. W tradycji polskiej to czysty prometeizm. Pytanie, o jaki typ odskoczni chodzi? Autor chyba raczej nie proponuje kulturalnego zanurzenia się Amerykanów w niezgłębianej duszy regionu, co byłoby prawdziwą psychiczną odskocznią od problemów, przed jakimi staje obecnie USA... Na pewno należy to traktować jako nawoływanie amerykańskiego historyka-publicyisty polskiego pochodzenia, aby USA aktywnie zajęły się polityką w obszarze postsowieckim. Pytanie, o jaki typ polityki nawołuje? Czwarty powód: „trwały polityczny i gospodarczy sukces państw Międzymorza pod amerykańskim patronatem podkopuje wrogów wolności nie tylko w sferze postsowieckiej, ale na całym świecie”. To odważne twierdzenie pozostawiam bez komentarza. „Po piąte – czytamy dalej – Międzymorze jest najbardziej integrującym projektem politycznym, który działał w praktyce przez stulecia w ramach Rzeczypospolitej i jako taki stanowi bezpośrednio wyzwanie wobec wszelkich form totalitaryzmu lub ksenofobicznego uniformizmu”. Warto zapamiętać: to uniformizm (cokolwiek

miałoby to znaczyć w historii myśli politycznej) jest ksenofobiczny, a nie np. nacjonalizm. A „międzymorze” – tak jak to rozumie autor, czyli współpracujące nacjonalizmy – działało w ramach Rzeczypospolitej przez wieki. Po szóste – „u swego szczytu Międzymorze oddziaływało swą potęgą znacznie poza swe granice, wpływając na wydarzenia mające miejsce daleko – choćby w Skandynawii i na Bałkanach. Może tak oddziaływać ponownie zgodnie z celami Ameryki i we własnym interesie”. Każdy, kto studiuje historię powszechną czy stosunki międzynarodowe, wie, że autor napisał prawdę zarówno o wzajemnej zależności między państwami, jak i potencjalności realizacji interesu amerykańskiego w naszym regionie. Ale jest i „po siódme – last but not least – przywracając koncepcję Międzymorza dyskursowi intelektualnemu, chcielibyśmy położyć nacisk na autonomiczną i niezależną naturę tego obszaru (zamiast postrzegać go jako nieistniejący lub wtopiony w rywalizujące imperia)”. Jestem przekonany, że tym twierdzeniem koncepcja Międzymorza została przywrócona dyskursowi intelektualnemu. Książka ta ma niezaprzeczną moc sprawczą.

Skąd wzięła się powyższa wizja, opisana takim właśnie językiem? Dlaczego autor dokonuje opisanych wyżej operacji na języku i wyobraźni symbolicznej? Część cytowanych wcześniej stwierdzeń być może wynika z faktu, że autor wiele lat spędził w USA i nie posługuje się wystarczająco sprawnie językiem polskim, aby oddać precyzyjnie swoje myśli. Książka, początkowo zaplanowana dla czytelnika amerykańskiego, powstała pierwotnie w języku angielskim i być może jej polska wersja ucierpiała na skutek nieprecyzyjnego tłumaczenia (porównując teksty polski i angielski, łatwo wskazać liczne miejsca, gdzie są one niespójne). Ale te usterki, które mogą być zrozumiałe, nie mogą przesłonić faktu, że autor pomija dotychczasowe tradycje i znaczenia idei, o których pisze; że instrumentalizuje historię myślenia; że nie dysponuje odpowiednim warsztatem do podjętego badania pomimo gestów czynionych w stronę antropologii (to osobny wątek godzien analizy); że swoim nieprecyzyjnym językiem perswaduje nam inne, niż znamy rozumienie „międzymorza” i przywiązuje nieproporcjonalną wagę do istniejących w nich nacjonalizmów; że wreszcie za pomocą „międzymorza” legitymizuje regionalne nacjonalizmy. Proponuje również ich współpracę, zbieżną z interesem amerykańskim. Chociażby z tych powodów trudno traktować tę książkę (pomimo jej objętości) jako opracowania odpowiadającego na pytania naukowe. Może zatem jej cel jest inny? Może jest to propozycja polskiej (amerykańskiej?) polityki zagranicznej w regionie? Ale jeśli tak, dlaczego autor buduje ją na fałszywych przesłankach historycznych?

W tym miejscu powinna być pointa, podsumowanie, wnioski. Bardzo o nie trudno, bowiem to nie jest jeszcze koniec lektury. Otóż ta ilość myśli, którą udało mi się przeanalizować, zajmuje nie więcej niż 3-4 strony tej książki, to zaledwie kilka akapitów. Ale każda z tych myśli domaga się komentarza, każda niesie określony ładunek, za każdą kryje się wyobrażenie, a ono ma wpływać na nasze postrzeganie. A książka ma 600 stron! Gdyby chcieć każdej stronie, każdej myśli poświęcić równą ilość czasu, to tekst niniejszy w sumie powinien mieć około półtora tysiąca stron. Oczywiście to praca niewykonalna (choć do tematu wypadnie jeszcze wrócić). Ale to znakomicie uświadamia, jaki ogromny potencjał perswazyjny drzemie w takiej pracy. Potencjał bez wątplenia zdolny wpłynąć na nasze myślenie o świecie, myślenie młodych ludzi, dla których np.



nacjonalizm również jest istotnym punktem odniesienia. Potencjał oparty jednak na trudnych do zweryfikowania albo wręcz nieweryfikowalnych twierdzeniach. Ich nagromadzenie sprawia, że na samą myśl o ilości pracy, która czeka czytelnika, rezygnujemy z lektury. Ja nie mogłem z tego zrezygnować, mając przed oczami młodego nieprzygotowanego do lektury czytelnika. Mój tekst ma przede wszystkim jemu pomóc w zrozumieniu zabiegów, którym został poddany. I ma dać mu do ręki narzędzie obrony albo przynajmniej zachęcić do szukania sposobów obrony.

Korekta językowa: Anna Bartoś

## Żydowska autonomia? Społeczność żydowska w Polsce w pierwszych latach po II wojnie światowej



[Zdjęcie pochodzi z zasobów Archiwum IPN]

MAGDALENA SEMCZYSZYN

### **Żydowska autonomia?**

### **Społeczność żydowska w Polsce w pierwszych latach po II wojnie światowej**

W wyniku II wojny światowej diametralnej zmianie uległa struktura narodowościowa Polski. W wyniku eksterminacji i wywozek, a także zmiany granic wielonarodowościowy kraj zamienił się w państwo jednorodnie etnicznie. Szczególnie doświadczeni zostali polscy Żydzi. Zagładę przeżyło zaledwie

około 240 tys. z 3,3 mln żydowskich obywateli II RP. Większość ocalała na terenach ZSRR. Tylko niewielka garstka przetrwała okupację w partyzantce, na tzw. aryjskich papierach i w obozach.

Wiosną 1945 r. ocalali z Zagłady zaczęli nazywać samych siebie biblijnym terminem Szerit ha'Pleta – ocalałe ostatki (1Krn 4,43). Ich położenie w Europie nazajutrz po wojnie było niezwykle trudne. Znakomita większość straciła bliskich i dom. Wielu Żydów przebywało w obozach dla DP (*Displaced Persons*) w strefach okupacyjnych Niemiec, oczekując na możliwość emigracji do Palestyny, USA lub Kanady. Panowała atmosfera tymczasowości i niepewności co do dalszego losu. Po traumie zagłady nic nie mogło być już takie samo.

Podobne odczucia towarzyszyły Żydom w Polsce. Do końca lipca 1946 r., na podstawie porozumienia o ewakuacji obywateli polskich, z ZSRR do kraju wróciło około 136 tys. Żydów. Większość z nich została osiedlona na Dolnym Śląsku i w Szczecinie. To tu, na Ziemiach Zachodnich, zaczęto wkrótce lansować koncepcję odbudowy żydowskiego życia w Polsce. „Wróciliśmy do kraju różnymi drogami [...]. Niestety na miejscu nie znaleźliśmy naszych najbliższych, o których tragicznym losie w okresie okupacji dochodziły do nas wieści i co do których każdy z nas żywił na dzień duszy iskierkę nadziei, jak również nie znaleźliśmy niczego z naszego dorobku materialnego z lat przedwojennych [...]. Tak, stara księga, księga naszej przeszłości jest dla nas zamknięta. Musimy wszystko budować od nowa, musimy organizować sobie nowe życie w nowej, demokratycznej Polsce” – pisano w lipcu 1946 r. w pierwszym numerze »Tygodnika Informacyjnego. Organu Wojewódzkiego Komitetu Żydów Polskich w Szczecinie”.

## **Nowe życie**

Pierwsi z pomysłem stworzenia „żydowskiego osiedla” (jidisz: jidiszer jiszew) na Dolnym Śląsku wystąpili byli więźniowie obozu Gross-Rosen i jego licznych filii. Obozy na Dolnym Śląsku przeżyło około 6 tys. polskich Żydów, którzy po wyzwoleniu skupili się w komitetach powstających spontanicznie m.in. w Wałbrzychu, Rychbachu (Dzierżoniowie), Kłodzku, Legnicy, Pieszycach i Bielawie. Tylko nieliczni ocaleni powrócili do dawnych miejsc zamieszkania. Większość, po krótkiej wizycie w rodzinnych stronach, wracała na Zachód, załamana wieściami o śmierci bliskich i zniechęcona bezskutecznymi próbami odzyskania mienia. W kolejnych miesiącach 1945 r. na teren Dolnego Śląska napływali także Żydzi z innych rejonów Polski. W czerwcu 1945 r. w Dzierżoniowie powołano Wojewódzki Komitet Żydów Dolnego Śląska (WKŻ). Wkrótce jego przedstawiciele wystosowali do Ministerstwa Administracji Publicznej (MAP) „Memoriał w sprawie osiedlenia się Żydów na obszarze Dolnego Śląska”, w którym znalazły się konkretne postulaty dotyczące budowy „żydowskiego osiedla” na tych terenach. Za miejscem przemawiały zarówno argumenty emocjonalne, jak i polityczne. Odrodzenie się szczątków żydowskiego świata na ponemieckich ziemiach miało wymiar symboliczny. „Wskazany jest – pisano w jednym ze sprawozdań komitetu w Bielawie – żeby właśnie tutaj, gdzie Żydzi byli ujarzmieni, harowali, tracili swoje zdrowie i siły dla innych, tworzyli teraz jako wolni, odrodzeni ludzie, nowe życie”. Pomysł zyskał poparcie ministra Edwarda Ochaba, władz Centralnego Komitetu Żydów Polskich (CKŻP) oraz Komitetu Organizacyjnego Żydów Polskich w Moskwie.

## Koncepcje władz komunistycznych

Stosunek władz komunistycznych w Polsce do ludności żydowskiej był skomplikowany i zmieniał się w zależności od sytuacji politycznej i aktualnej linii ZSRR w sprawie palestyńskiej. W pierwszych kilku latach po wojnie zwyciężyła koncepcja żydowskiego osadnictwa. Przychylny stosunek władz do ludności żydowskiej wynikał z pragmatyzmu. Odradzające się życie żydowskie w Polsce z jednej strony stanowiło realizację zapowiedzi zawartej w manifeście PKWN („Żydom po bestialsku tępionym przez okupanta zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie”), z drugiej zaś miało legitymizować rzekomo demokratyczny, walczący z antysemickimi uprzedzeniami charakter nowych rządów nad Wisłą w oczach Zachodu. Dla władz komunistycznych inicjatywa byłych żydowskich więźniów stała się częścią szerszego planu dotyczącego zasiedlenia Ziemi Zachodnich. Stanowiła zarazem remedium na problem związany z tzw. repatriacją polskich Żydów z terenów ZSRR. W gremiach kierowniczych PPR pojawiło się kilka koncepcji dotyczących żydowskiego osadnictwa. Wszystkie dotyczyły terenów poniemieckich. Latem 1945 r. w planach MAP brano pod uwagę tereny Dolnego Śląska lub Prus Wschodnich (Warmia i Mazury). Toczące się przez kolejne miesiące spory dotyczyły przede wszystkim sposobu rozlokowania repatriantów żydowskich. Czy tworzyć zwarte skupiska żydowskie, czy też – jak należały m.in. władze w Szczecinie – rozproszyć przybyłych, tak aby zerwać z tradycją żydowskich kwartałów. Na forum Frakcji PPR przy CKŻP działacze z Dzierżoniu wypowiedali się stanowczo za stworzeniem na poniemieckich terenach jednego ośrodka żydowskiego.

O wyborze Ziemi Zachodnich zdecydowało kilka czynników. Po pierwsze, warunki materialne – opuszczone przez Niemców mieszkania, gospodarstwa rolne i fabryki. Po drugie, zwarte osadnictwo w dużych skupiskach miejskich miało być gwarancją bezpieczeństwa osadników żydowskich. Liczono, że na „neutralnym” obszarze zniknie problem sporów o mienie pozostawione w czasie wojny i przejęte następnie przez sąsiadów lub znacjonalizowane. Nowe tereny i brak bliższych więzi pomiędzy osadnikami przybyłymi z różnych stron przedwojennej Polski w znacznym stopniu niwelowały także problem nastrojów antysemickich (które, notabene, nowa władza przypisywała tylko swoim politycznym przeciwnikom, „spadkobiercom sanacyjnej Polski” i podziemi poakowskiemu). Niemniej ważny okazał się wymiar propagandowy – po klęsce III Rzeszy Żydzi masowo przyjeżdżali na ziemie, które stały się symbolem historycznego rewanżu. Pojawiały się również opinie, że ocaleni na terenach ZSRR, na ogół postrzegani jako przychylni nowej władzy (w przeciwieństwie do sporej części polskich osadników), będą stanowić podstawę kadrową dla działalności PPR i budowy struktur administracyjnych na Ziemiach Zachodnich. Ponadto hasło budowy żydowskiego osiedla w kraju było głównym argumentem przeciwko emigracji, do której nawoływali syjoniści.

W styczniu 1946 r. przedstawiciel Agencji Żydowskiej, Mosze Iszaj, w jednym z listów pisał na temat planu osadnictwa repatriantów żydowskich na Ziemiach Zachodnich: „Można powiedzieć, że to taki plan polskiego Birobidżanu [...]. Powstanie odosobniona i wyobcowana enklawa żydowska – taka żydowska wyspa pośród nie-Żydów, którzy nigdy nie pałali wielką miłością do Żydów”. Istotnie, pomysł budowy „żydowskich osiedli” na Dolnym Śląsku przywodził na

myśl koncepcję istniejącej w latach 30-tych XX wieku Autonomicznej Żydowskiej Republiki Socjalistycznej w Birobidżanie na Dalekim Wschodzie. Oba eksperymentalne przedsięwzięcia łączył sprzeciw wobec emigracyjnych dążeń syjonistów i propagandowy cel – stworzenie „socjalistycznego Żyda”. W przeciwieństwie do Iszaja władze w kraju liczyły na pozytywne rezultaty przedsięwzięcia. Dostosowanie nowej, „żydowskiej ulicy” do socjalistycznych warunków i integracja ludności żydowskiej z polskim społeczeństwem miały dokonać się, zgodnie z duchem czasu, m.in. poprzez pojawienie się Żydów w takich gałęziach gospodarki, jak: górnictwo, rolnictwo i przemysł ciężki.

### **Reglamentowana autonomia**

Od stycznia do lipca 1946 r. na Dolny Śląsk przybyło prawie 87 tys. żydowskich repatriantów z ZSRR. Najwięcej osób rozlokowano we Wrocławiu, Dzierżoniowie, Wałbrzychu, Bielawie, Legnicy i Kłodzku. Już w kwietniu pojawiły się problemy z rozlokowaniem kolejnych transportów, stąd też – decyzją władz – 30 tys. osób skierowano do Szczecina. Przez chwilę Żydzi stanowili przeszło 40% mieszkańców tego miasta.

Ziemie Zachodnie, poza Łodzią i Górnym Śląskiem, stały się miejscem największego skupiska ocalałych z zagłady. Na Dolnym Śląsku osadnictwo objęło 42 miejscowości (33% ogółu ludności żydowskiej w Polsce). W Dzierżoniowie i Bielawie Żydzi byli w większości, przywołując na myśl przedwojenne, kresowe sztettele. Jednak teraz – po traumie zagłady i w nowej, socjalistycznej rzeczywistości – wszystko miało być inne.

Pomimo trudności organizacyjnych i emigracyjnej agitacji syjonistów entuzjaści, tacy jak Jakub Egit (przewodniczący WKŻ na Dolnym Śląsku) czy Szymon Zachariasz (Fracja PPR przy CKŻP), zapewniali, że możliwa jest nie tylko odbudowa żydowskiej społeczności, ale także zmiana tradycyjnego modelu życia „na żydowskiej ulicy”. Równouprawnienie Żydów na polu zawodowym miało służyć integracji z resztą społeczeństwa oraz zerwaniu z historyczną spuścizną. Stąd szczególnie nośne hasło produktywizacji ludności żydowskiej – otwarcia jej na nowe zawody, niewystępujące do tej pory w żydowskiej tradycji, kojarzonej zazwyczaj z handlem i rzemiosłem. Dobitym przykładem tych przemian były żydowskie spółdzielnie zawodowe rozsiane na Dolnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim. W 1947 r. istniało już ponad sto tego typu placówek.

Mocnym akcentem produktywizacji było osiedlenie części przybyłych repatriantów żydowskich w kolektywach rolniczych. „Ma to wielkie znaczenie moralne – pisano na łamach prasy – zwalczając przesąd, jakoby Żyd nie może być rolnikiem”. Nagłaśniano także inne akcje, takie jak np. przyjęcie kilkuset Żydów do pracy w śląskich kopalniach lub powołanie żydowskiej spółdzielni rybackiej w Trzebiatowie. Żydzi uzyskali nieograniczony dostęp do szkół, uczelni i pracy w administracji, jednak w ujęciu propagandowym „żydowskie osiedle” tworzyli przede wszystkim robotnicy. Ten zamysł dobrze oddają kadry powstałego w 1947 r. w wytwórni „Kinor” filmu dokumentalnego *Jidiszer Jiszew in Niderszlezje* („Żydowskie osiedle na Dolnym Śląsku”). Znaleźli się na nich m.in. Żydzi-górnicy pracujący w kopalni „Bolesław Chrobry” w Wałbrzychu, robotnicy dzierżoniowskich i wrocławskich spółdzielni oraz uśmiechnięci rolnicy.

Do 1949 r. oficjalny kurs polityki komunistów wobec ludności żydowskiej był dość liberalny. Szereg inicjatyw kulturalnych, gospodarczych i politycznych sprawiło, że Żydzi – w przeciwieństwie do innych mniejszości narodowych – uzyskali namiastkę autonomii narodowo-kulturalnej. Wyjątkowym zjawiskiem była legalna działalność aż ośmiu żydowskich partii politycznych (w tym większości o profilu syjonistycznym). Na Ziemiach Zachodnich otwarto setki instytucji występujących pod żydowskimi szyldami: szkoły, domy dziecka, kółka dramatyczne, kluby sportowe, kibuce, redakcje gazet i wydawnictwa. We Wrocławiu działał Teatr Żydowski, w Wałbrzychu Szpital Żydowski im. Dawida Guzika, a w samym Szczecinie 26 spółdzielni produkcyjnych i 7 kibuców. Życie religijne zostało ujęte w ramy mojżeszowych kongregacji wyznaniowych. Ponadto istniało ciche przyzwolenie na działalność międzynarodowych organizacji żydowskich oraz emisariuszy palestyńskich, werbujących młodzież w szeregi syjonistycznych partii oraz organizujących nielegalną emigrację. W Bolkowie na Dolnym Śląsku w latach 1947-1948 działał obóz szkoleniowy Hagany, który ukończyło przynajmniej około 2000 osób, skierowanych następnie do Palestyny. Wszystko to świadczyło o sporym pragmatyzmie władz. Z jednej strony hasło żydowskiego osadnictwa w kraju, z drugiej – nieoficjalne wsparcie dla organizacji syjonistycznych dążących do emigracji szły w parze ze strategią Stalina, liczącego w pierwszych latach po wojnie na budowę na Bliskim Wschodzie państwa żydowskiego zorientowanego prosowiecko.

## **Exodus**

Załamanie osadnictwa żydowskiego na Ziemiach Zachodnich nastąpiło latem 1946 r. W wyniku pogromu w Kielcach (4 lipca 1946 r.) zapanowała panika, która zaowocowała masową emigracją ludności żydowskiej na Zachód. Wyjeżdżano głównie z pomocą działaczy nielegalnej syjonistycznej organizacji Bricha (hebr. ucieczka), której struktury istniały w Polsce od 1944 r. Ważnymi punktami przerzutowymi Brichy były: Szczecin, Kłodzko, Mieroszów, Zgorzelec, Żary, Kudowa. W wyniku wydarzeń w Kielcach doszło do nieformalnego porozumienia pomiędzy najwyższymi władzami w kraju i syjonistami, organizującymi nielegalną emigrację. Na jego podstawie otwarto dla Żydów polsko-czechosłowackie przejścia graniczne w Kudowie i Mieroszowie. Tylko w lipcu-wrześniu 1946 r. przez odcinek dolnośląski wyemigrowało 68 680 Żydów, a kolejne 23 520 nielegalnie opuściło kraj przez Szczecin. Granicę z Czechosłowacją przekraczało codziennie kilkanaście grup liczących łącznie 500-800 osób. Teren w rejonie Kłodzka, Kudowy i Wałbrzycha przypominał koczownicze obozowiska, w których Żydzi oczekiwali na dogodny moment dla przekroczenia granicy. Szlaki wiodły do Nachodu i dalej pociągami do Cheb i Asch – miasteczek położonych blisko granicy czechosłowacko-niemieckiej. Dalej emigrujący udawali się do licznych obozów DP, skąd próbowali przedostać się do Palestyny.

Stan taki trwał do przełomu 1946/1947 r., gdy komunistyczne władze w Warszawie, pod naciskiem dyplomacji brytyjskiej (Wielka Brytania sprawowała wówczas mandat nad Palestyną), zdecydowały się zamknąć granicę. Z pomocą Brichy do końca trwania tajnej umowy Polskę opuściło około 140 tys. Żydów. Wiosną 1947 r. na Dolnym Śląsku znajdowało się około 52 tys. ludności żydowskiej (47% ogółu w kraju), w Szczecinie już tylko 6 tys. osób (6,8%). Kolejne dwa lata były dla pozostającej w kraju społeczności żydowskiej

okresem normalizacji, jednak wydarzenia w Kielcach i masowy exodus zniweczyły marzenia tych, którzy uwierzyli w możliwość budowy „żydowskiego osiedla” w Polsce.

### **Koniec iluzji**

Od 1948 r. kurs polityki ZSRR wobec powstałego państwa Izrael ulegał stopniowo zmianie, ewoluując ku otwartej wrogości i walce z syjonizmem. Wielka polityka skutkowała stopniowym ograniczaniem Żydom możliwości swobodnego rozwoju w powojennej Polsce. Pod koniec lat 40-tych koncepcja „żydowskiego osiedla” na Ziemiach Zachodnich stała się niewygodnym epizodem. Jej wielki zwolennik, Jakub Egit, w swoich wspomnieniach zatytułowanych Grand Ilusion („Wielka iluzja”) wspominał, że pierwszym zwiastunem tych zmian była sprawa wycofania ekspozycji poświęconej śląskim Żydom, która w 1948 r. miała stać się częścią wystawy Ziem Odzyskanych. Wizytujący wystawę pracownik wrocławskiego UB w następujących słowach zwrócił się do czuwającego nad całością prac Egita: „Towarzyszu Egit, wam się wydaje, że jesteście w Izraelu. Ten pawilon byłby odpowiedni w Tel Awiwie, ale tu jest Polska”. Wkrótce działacz usłyszał zarzuty o nacjonalizm, propagowanie żydowskiej odrębności i... próbę uczynienia z Dolnego Śląska drugiego Izraela. W 1949 r. kierownictwo PPR podjęło szereg decyzji mających na celu likwidację lub upaństwowienie instytucji i placówek żydowskich. Zdelegalizowano wszystkie żydowskie partie i organizacje społeczne, zezwolono także na kolejną akcję emigracyjną (1949/1950). Odgórnie zarządzane działania położyły kres autonomii „żydowskiej ulicy”. Z roku na rok coraz mniejszą społeczność żydowską na Ziemiach Zachodnich ostatecznie rozproszyły kolejne fale szykan i emigracji. Symbolicznym końcem powojennego życia żydowskiego w Polsce stał się Marzec 1968 r.

Korekta językowa: Anna Bartoś

---

## **Mechanizm kozła ofiarnego w narracjach o wydarzeniach Marca '68**



MAREK WOŹNIAK

### Mechanizm kozła ofiarnego w narracjach o wydarzeniach Marca '68\*

Przypadająca w tym roku pięćdziesiąta rocznica tzw. wydarzeń marcowych sprzyja moim zdaniem nie tylko próbom opisu/przypomnienia faktów i procesów, które miały miejsce w Polsce w roku 1968, ale także refleksji – zwłaszcza biorąc pod uwagę aktualny kontekst związany z kryzysem relacji polsko-izraelskich, a będący konsekwencją nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej i niezbyt udanych wysiłków podejmowanych przez rządzących „zмирzających” do złagodzenia jego skutków (do czego wróć jeszcze w zakończeniu) – nad obecnymi w szeroko rozumianej przestrzeni publicznej wizerunkami/obrazami „Marca '68” oraz strategiami interpretacji wydarzeń. Zakładając, że niezwykle skutecznym narzędziem służącym ich wyjaśnieniu może okazać się propozycja René Girarda, który w swoich pracach zaproponował patrzenie na pojawiające się we wszystkich kulturach kryzysy przez pryzmat fenomenu kozła ofiarnego oraz opisał obecne w nim mechanizmy, w swoim tekście spróbuję pokazać, w jaki sposób dyskursy, a co za tym idzie także obecne w nich interpretacje i wyjaśnienia, adaptują na swoje potrzeby uniwersalne w swojej naturze elementy procedury opisanej przez francuskiego antropologa.

Nie podejmując się w tym miejscu całościowej rekonstrukcji myśli/propozycji Girarda, przypomnę w tym miejscu jedynie, że definiując kozła ofiarnego, przytacza słowa Kajfasza zawarte w Ewangelii św. Jana: „Lepiej jest dla was, gdy jeden człowiek umrze...” (Girard 1987, 163), co w jego przekonaniu oznacza, iż pojęcie to zawiera w sobie założenie o niewinności ofiary, kolektywną nienawiść, która się na niej skupia, oraz kolektywnie realizowany efekt owej nienawiści (tamże, 62). R. Girard wskazuje na cztery podstawowe stereotypy przesładowcze, których istnienie (występowanie), niekoniecznie wszystkich jednocześnie, sprzyja pojawieniu się fenomenu kozła ofiarnego. Są to: stereotyp kryzysu odróżnorodnienia; stereotyp zbrodni odróżnorodniających (stereotyp oskarżycielski); stereotyp znaków selekcji ofiarniczej, czyli cech odróżnorodnienia; stereotyp samej przemocy – więcej o mechanizmie i jego funkcjonowaniu (tamże, 21-37).

Genezy mechanizmu kozła ofiarnego, zdaniem Girarda, możemy poszukiwać w

warunkach narastającego konfliktu społecznego. Konflikty prowadzącego – przynajmniej w oczach niektórych jego uczestników – do kryzysu ustalonych/wynegocjowanych społecznie/historycznie fundamentalnych wartości (kulturowych), powszechnie akceptowanych oraz postrzeganych jako trwałe i niezmiennie.

W mojej opinii, wynikającej z założonych celów niniejszego tekstu, istotny staje się – przypomnę – nie tyle opis samych wydarzeń, co ukazanie, w jaki sposób historyk/badacz w konstytuowanym przez siebie wizerunku przeszłości (narracji historycznej) adaptuje schemat funkcjonowania fenomenu do wyjaśnienia wydarzeń, zjawisk, procesów mających miejsce w przeszłości. W takiej perspektywie przedmiotem moich zainteresowań stają się dla mnie dwa rodzaje tekstów, w których – z jednej strony – dochodzi do nadawania atrybutów girardowskiego kozła ofiarnego postaciom, zjawiskom, faktom, ale także takich – z drugiej strony – które sięgają po uniwersalny schemat interpretacyjny, obecny w mechanizmie opisanym przez R. Girarda. Spróbuję zatem wskazać narracje, które odsłaniają i wydobywają na światło dzienne, niekiedy zawstydzające, sytuacje związane ze stosowaniem w życiu społecznym schematu kozła ofiarnego, oraz takie, w których dostrzec możemy próby kreowania swoistego kozła ofiarnego w sytuacjach i w związku z pewnymi postaciami czy zjawiskami, które z ofiarą albo nie miały nic wspólnego lub też to one stały za przemocą narodzoną w wyniku zastosowania mechanizmu kozła ofiarnego. Niezależnie od innych okoliczności schemat kolektywnej przemocy Girarda, jako teoria próbująca wyjaśnić niektóre zjawiska społeczne, w moim przekonaniu może się stać interesującym punktem wyjścia do interpretacji tekstów kultury (źródeł historycznych) dotychczas niezauważanych przez profesjonalnych historyków/badaczy lub też służyć reinterpretacji już wcześniej rozpoznanych, ale odmiennie odczytywanych.

## **Kontekst**

Spróbujmy zatem zobrazować pokrótce działanie identyfikowanych przez Girarda mechanizmów na gruncie konkretnych wydarzeń historycznych, abstrahując na razie od możliwych ich interpretacji przez historyków. Nie budzi bowiem moim zdaniem żadnych wątpliwości fakt, że we współczesnej historii Polski można doszukać się, w niektórych przynajmniej wydarzeniach, mechanizmów przenoszenia agresji zrodzonej w wyniku narastającego kryzysu oraz społecznego poczucia zagrożenia i chaosu. Jednym z takich przypadków są niewątpliwie zjawiska i procesy, które przyczyniły się do wybuchu postaw antysemickich w końcu lat 60-tych. Z mojej perspektywy źródła antyżydowskich zachowań w tym okresie jednoznacznie wpisują się w mechanizm przemieszczania agresji, której nie można było skierować przeciw rzeczywistym wrogom. Niezadowolenie z sytuacji w kraju, potęgowane poczuciem bezsilności, nie znajdując ujścia w atakowaniu faktycznych sprawców trudności doświadczanych na co dzień, sprawiły, że część społeczeństwa zwróciła się przeciw wrogowi zastępczemu, wskazanemu przez władzę jako zagrożenie Polski/polskości oraz tradycyjnych wartości, a same akty przemocy – także tej symbolicznej – okazały się elementem korzystnym – zwłaszcza w wymiarze politycznym i społecznym – przede wszystkim z punktu widzenia rządzących. Jest przy tym oczywiste, że w żaden sposób nie usprawiedliwia to oczywiście negatywnych zachowań, bo nie zmienia to faktu, że aby mogły mieć miejsce, muszą trafić na



– nawet jeśli są one głęboko ukryte/skrywane – sprzyjające „wyposażenie mentalne”.

Nie aspirując do całościowego opisu wydarzeń marcowych – w moim przekonaniu w wystarczającym stopniu uczynili to (w ciągle aktualnych pracach) m.in. J. Eisler (1991, 2006), P. Osęka (1999, 2008) czy M. Mazur (2004) – przypomnę jedynie, że kryzys władzy, narastający po śmierci Stalina, a spotęgowany po XX Zjeździe KPZR, sprawił, że partia komunistyczna musiała szukać nowych instrumentów rządzenia. Wydarzenia związane z odwilżą lat pięćdziesiątych, społeczne próby demokratyzacji systemu w latach sześćdziesiątych postawiły elity rządzące w niełatwym położeniu. Trudności ekonomiczne wpływały nie tylko na złożoną sytuację partii, ale i potęgowały negatywne nastroje społeczne. Abstrahując od tego, komu nastroje antyżydowskie potrzebne były bardziej, warto jednak pamiętać, że niezależnie od tego, czy uznamy ich wywołanie za przejawy toczącej się rywalizacji wewnątrzpartyjnej czy też za sposób na odwrócenie uwagi społecznej od narastających trudności lub od wysiłków części społeczeństwa zmierzających do liberalizacji systemu (Mazur 2004, 101), sam mechanizm wywołania nastrojów antyżydowskich pozostaje niezmienny. W opinii K. Kersten propozycje usuwania osób pochodzenia żydowskiego z ważniejszych stanowisk, nie tylko „wskazywały winnych zaistniałej sytuacji” i „pouczały jak zażegnać kryzys”, ale służyły także uwierzytelnieniu „polsko-narodowego charakteru władzy” w momencie, gdy władza postrzegana była przez pryzmat „stosunków poddańczych ZSRR – Polska”, odwracając jednocześnie uwagę od istotnych problemów wewnętrznych. W ten sposób zmistyfikowana, „sztucznie wykreowana kwestia żydowska” stała się niezwykle użytecznym narzędziem zarządzania/zarządzających ówczesnym kryzysem/kryzysami (Kersten 1992, 159).

Właśnie w takich warunkach W. Gomułka nazywa „syjonistów” piątą kolumną Izraela w Polsce, która „działa na rzecz swojego, a wrogiego nam państwa” (Hillebrandt 1986, 41), a nie zapominajmy, że etykiety „syjonisty” i „Żyda” funkcjonowały w świadomości społecznej zamiennie. Co więcej, jak dowodzi M. Mazur: „Propaganda usiłowała udowodnić tezę, że antysyjonizm w Polsce Ludowej nie ma nic wspólnego z antysemityzmem. Tworzono wrażenie, iż publikacje prasowe wyłącznie demaskowały tendencje syjonistyczne oraz były jak najdalej od antysemityzmu. Dzięki zastosowaniu takiej konstrukcji, antysyjonizm stawał się zakamuflowanym antysemityzmem, a pojęcia te nabierały cech synonimiczności” (Mazur 2004, 224).

Ludziom wskazywano winnych ich codziennych trudności, poczucia zagrożenia i frustracji. Potępiano przy tym środowiska „syjonistyczne”, które zdaniem władzy (ale i części społeczeństwa) opowiadały się za „agresorem izraelskim” (wydarzenia związane z sześciomiesięczną wojną izraelsko-arabską z czerwca 1967), „burzycielem porządku”, za „imperializmem” (Paczkowski 1995, 362). Do opinii społecznej przedostają się informacje o osobach pochodzenia żydowskiego „otwarciu opowiadających się za Izraelem”. Rozpoczyna się konsekwentna „demaskacja syjonistów” w urzędach, w administracji, w wydawnictwach (tamże). „Na zebraniach aktywnie dowodzi się, że syjonistyczna agentura sprowokowała zajścia na uniwersytetach” (Kąkol 1968, 39). W obiegu publicznym pojawiają się informacje o nasilaniu się „ordynarnej i bezczelnej propagandy antypolskiej, uprawianej i inspirowanej przez koła syjonistyczne ściśle

współpracujące z odwetowcami i NRF-em” (Kąkol 1968, 39). Na łamach prasy pojawiają się opinie, że wydarzenia marcowe to „próba zamachu stanu grup powiązanych z ośrodkami syjonistycznymi”, które „usiłowały w sposób zorganizowany doprowadzić, pod hasłami demokratycznymi i patriotycznymi, do nasilenia manifestacji i starć ulicznych” (Hillebrandt 1986, 66).

Oskarżenia tego rodzaju pojawiają się we wszystkich rodzajach środków masowego przekazu. Zarzuty, pomówienia, plotki, niesprawdzone informacje rozprzestrzeniają się błyskawicznie. Potwierdzają je najwyższe autorytety w państwie (Mazur 2004, 235). Konstruowanie takiego obrazu rzeczywistości okazało się – i znalazło oddźwięk w sporej części społeczeństwa – niezwykle skutecznym środkiem na wywołanie pożądanych przez władzę zachowań i odwrócenia uwagi od faktycznych przyczyn społecznego niezadowolenia.

### **Kozioł ofiarny a narracja (historyczna)**

Zgodnie z koncepcją R. Girarda istnieją dwa rodzaje tekstów odnoszących się do fenomenu/zjawiska kozła ofiarnego. Wszystkie mówią o ofiarach, lecz nie wszystkie wskazują/sugerują, że ofiara jest kozłem ofiarnym. Przykładowo ewangelie wyraźnie nazywają ofiarę kolektywnej przemocy kozłem ofiarnym. Używają na określenie Jezusa takich metafor, jak: Baranek Boży; Kamień odrzucony przez budowniczych; Ten, który cierpi za wszystkich. Teksty tego rodzaju zdaniem Girarda przedstawiają zniekształcenia prześladowcze jako „to, w co nie należy wierzyć”. W innych natomiast rodzajach narracji, nazywając ofiarę kozłem, nadajemy tekstowi odmienny sens, negujemy sens nadany źródłu przez samego autora. On bowiem przedstawia wizje prześladowcze „jako prawdziwe, jako to, w co należy wierzyć”. Kozłem ofiarnym ujawnionym przez tekst jest kozioł ofiarny obecny w tekście i dla tekstu. Natomiast kozłem ofiarnym, którego sami musimy wykryć, jest kozioł ofiarny tekstu. Nie może się w nim ukazać, gdyż wszystkie wątki tekstu są podporządkowane efektowi kozła ofiarnego – wpływając na strukturę tekstu, nie może być równocześnie jego tematem (Girard 1987, 171). W tym drugim przypadku zasadnicze cele takiego aktu twórczego wydają się być jasne i są – mocno upraszczając problem – związane z funkcjami spełnianymi bądź przypisywanymi fenomenowi kozła ofiarnego. Nie da się bowiem ukryć, iż mechanizmu kozła ofiarnego, który w przekonaniu władzy/zarządzających kryzysem wydaje się być skutecznym narzędziem przywracania ładu społecznego, spełnia wiele istotnych funkcji, przede wszystkim regeneracyjnych, na gruncie wspólnoty społecznej. Najbardziej fundamentalna w tym przypadku jest funkcja integracyjna. Kryzysy sprzyjające odwoływaniu się do ofiary zastępczej, jako środka na normalizację sytuacji, stają się bowiem, dzięki wspólnie podejmowanym przez ludzi działaniom – magiczne środki ofiarnicze – zjawiskami sprzyjającymi (re)integracji wspólnoty.

### **Kozioł ofiarny w tekście**

Pewna część narracji w próbach wyjaśnienia wydarzeń Marca '68, dość wyraźnie adaptująca w swoich interpretacjach elementy mechanizmu kozła ofiarnego, postrzega nastroje antysemityczne jako wynik manipulacji czyniących z Żydów niewinne ofiary. Przykładowo J. Eisler pisze: „Twierdzono, że Żydzi narazili państwo na duże straty finansowe [...]. Równocześnie głoszono, że byli to stalinowcy, którzy obecnie stworzyli silny ośrodek syjonistyczny” (Eisler

1991, 340). Wykreowany obraz rzeczywistości zdaniem Eislera sugerował, że Polska miała być rządzona przez „Żydów w interesie światowego Żydostwa”. W jego świetle „H. Minc miał kontrolować życie gospodarcze, J. Berman – aparat bezpieczeństwa, R. Zambrowski natomiast aparat partyjny”. W ten sposób sugerowano, że te sfery życia, w których społeczeństwo dopatrywało się najbardziej jaskrawych objawów kryzysu, opanowane są przez Żydów, a stąd niedaleko już do wniosku, kto jest odpowiedzialny za zaistniałe kłopoty. A zatem: kryzys ekonomiczny to wynik złej polityki Minca, „Żyda niekoniecznie Polsce służącego”; „terror dotykający swym okrucieństwem większą część społeczeństwa to również konsekwencja nadmiaru władzy spoczywającej w rękach Żyda – Bermana”, a „wynaturzenia w działaniu partii, jej alienacja od mas, to także skutek błędnej i antypolskiej polityki kolejnego Żyda – Zambrowskiego” (Eisler 1991, 145).

W podobnym tonie wypowiada się K. Kersten, której zdaniem frakcja konserwatywna PZPR „[...] zakładała zdławienie kryzysu przy użyciu siły sprzęgniętej z demagogią populistyczną i kryptosemicką, dla otumanienia społeczeństwa wykorzystującą m.in. wypróbowaną metodę kozłów ofiarnych. Zbitka zbrodnie stalinowskie – Żydzi miała skierować emocje społeczne w łóżyska antysemityczne” (Kersten 1992, 159). W analogiczny sposób wydarzenia Marca '68 wyjaśnia A. Paczkowski: „Przez cały kraj przetaczała się fala [...] masowych seansów nienawiści w urzędach; potępiano syjonizm, ale często domagano się też usunięcia jego nosicieli. Ten nurt marca miał cele nader doraźne: chodziło o [...] eliminację części starej elity i rewizjonistów oraz wszelkiej maści liberałów” (Paczkowski 1995, 369). W narracjach tego typu pojęcia: „syjonista”, „rewizjonista”, „liberał”, „sługus imperializmu” utożsamiane były wszystkie z tym samym – „wszędobylskim żydostwem” (tamże). Inspiratorom i organizatorom, speccom od prowokacji czy cynicznym wichrzycielom i politykom ujawnionym przez właściwe organa, jak o nich mówiono, przypisywano żydowskość, co zdaniem K. Kersten sygnowano odpowiednimi aluzjami lub słowem „syjonista, które zastępowało słowo Żyd” (Kersten 1992, 143).

A. Paczkowski, który postrzega stwarzanie nastrojów antysemitycznych m.in. jako rywalizację wewnątrz partyjnych grup, o nagonce na syjonistów powiada, że „[...] zaczynała się następna faza starcia, którego głównymi uczestnikami byli w istocie z jednej strony połączone siły partyzantów, a z drugiej rewizjoniści [...], a ciosy spadały na osoby pochodzenia żydowskiego lub uznane za takie”, co dokumentuje słowami W. Gomułki: „[...] są to ci sami znienawidzeni wrogowie Polski Ludowej [...], różni pogrobowcy starego ustroju, rewizjoniści, syjoniści, sługusy imperializmu” (Paczkowski 1995, 362-363).

Mocno zakorzeniona nienawiść do komunistów i pamięć o nie tak dawnych ekscesach „bezpieki” zdaniem Paczkowskiego „[...] ułatwiała uznanie za głównych wrogów narodu tych, na których ciążyła odpowiedzialność za lata stalinowskie. Syjoniści, rewizjoniści i niepoprawni reakcjoniści, wymieszani razem, stali się klasycznym kozłem ofiarnym, na którego zrzucano winę za istniejący – a budzący powszechne niezadowolenie – stan rzeczy” (Paczkowski 1995, 370). Na mechanizmy te zwraca uwagę także J. Eisler, który zauważa, że „Moczar i jego zwolennicy nie przeoczyli wówczas żadnej okazji, aby pozbyć się swoich przeciwników, stosując działania prowokatorskie, chętnie posługując się

donosem i fabrykowanymi dowodami. O żydostwo oskarżano wielu działaczy partyjnych, nie pomijając premiera Cyrankiewicza czy Spychalskiego” (Eisler 191, 130).

Z kolei K. Kersten dostrzega, że scenariusz Marca '68 kształtował się w atmosferze kryzysu zaufania do władzy, a jego autorzy sięgnęli do „gorącej materii wartości narodowych”, operowali „emocjami, obsesjami i uprzedzeniami”, wykorzystywali mity głęboko zakorzenione w polskiej świadomości. „W latach 1956 i 1968 antysemickie impulsy płynące z określonych kręgów władzy pojawiały się w warunkach rosnącej aktywności społeczeństwa, nigdy ostatecznie nieujarzmionego. W dość regularnych odstępach czasu, co 10-12 lat, dochodziło do zrywów, które mogły zagrozić egzystencji systemu totalitarnej władzy. Ale we wszystkich tych buntach (1956, 68, 70, 76, 80) pojawiały się hasła wyrażające zbitkę: Żydzi – władza. Można je było spotkać w zawołanej postaci w partyjnych gazetach, ale nigdy na transparentach [...]” (Kersten 1992, 157; 161-162).

Przedstawione powyżej ilustracje dość wyraźnie pokazują, że jeden z dyskursów podejmujących się opisu i wyjaśnienia kryzysów w PRL-u nie tylko wprost posługuje się pojęciem kozła ofiarnego, ale także sięga po zasadnicze elementy mechanizmu przedstawionego przez Girarda. Czyni tak, m.in. opisując generowanie się nastrojów antysemickich w świadomości społeczeństwa polskiego jako wynik działań partii komunistycznej stojącej w obliczu problemu utrzymania systemu i powstrzymania negatywnych z punktu widzenia władzy zjawisk społecznych, które mogłyby zagrażać istniejącemu porządkowi. Dyskurs ten otwarcie wskazuje na Żydów jako niewinne ofiary opowieści stworzonej przez władze na potrzeby kryzysowych sytuacji, przedstawiając ich jednoznacznie jako kozły ofiarne, „ofiarowane” w imię zaspokojenia społecznej potrzeby ładu i poczucia bezpieczeństwa.

Nie zmienia to jednak faktu, co spróbuję pokazać niżej, że inna część narracji opisuje kryzys roku '68 również w kategoriach mechanizmu kozła ofiarnego, ale w ich ujęciu/interpretacji ofiarami nie są syjoniści, rewizjoniści, opozycja, ale społeczeństwo polskie czy szerzej Polska Ludowa, a przynajmniej tak chcą być odczytywane. Narracje tego rodzaju nie tylko ukrywają faktycznie istniejącego kozła ofiarnego, ale jednocześnie konstytuują swoje własne ofiary, wykorzystując przy tym szeroko zakorzenione w świadomości społecznej uprzedzenia i stereotypy.

### **Kozioł ofiarny tekstu**

Pisząc o kryzysach lat 50-tych, A. Czubiński twierdzi, że: „W atmosferze odwilży pojawił się tzw. problem żydowski. Wiele osób tej narodowości pełniło do tego czasu czołowe funkcje w partii oraz w rządzie i ponosiło bezpośrednią odpowiedzialność za łamanie prawa i nadużycia władzy. W 1956 roku niektórzy ci działacze próbowali dowieść, że cała odpowiedzialność spada na system stalinowski, podsycali nastroje antyradzieckie” (Czubiński 1987, 358). Czubiński wskazuje również na mający miejsce w latach następnych „ostry atak kół syjonistycznych na Zachodzie na polskie władze”. Koła te jego zdaniem próbowały „skierować nastroje opinii publicznej przeciwko Polsce”, utrudniając jej działania na forum międzynarodowym, tak w aspekcie politycznym, jak i ekonomicznym (Czubiński 1987, 366). Daje tym samym wiarę

twierdzeniom ówczesznie rządzących, którzy sugerowali, że „sygnały o wrogim działaniu syjonistów” pojawiły się już przed rokiem 1967 w postaci „ordynarnej i bezczelnej propagandy antypolskiej, inspirowanej i uprawianej w ścisłej współpracy z odwetowcami i NRF-em”, a władzę do „wyłożenia kart na stół skłoniła dopiero zorganizowana i inspirowana przez syjonistów ruchawka” (Kąkol 1968, 39-41).

W próbach wyjaśniania wydarzeń marcowych dyskursy tego rodzaju sięgają przede wszystkim po argumenty ośrodka władzy. B. Hillebrand, pisząc o wydarzeniach marcowych, przytacza słowa K. Kąkola: „Mieliśmy do czynienia z próbą zamachu stanu. Grupa zakonspirowana, powiązana z ośrodkami syjonistycznymi, usiłowała w sposób zorganizowany doprowadzić pod hasłami patriotycznymi i demokratycznymi do nasilenia manifestacji i starć ulicznych” (Hildebrandt 1986, 66). W efekcie Hillebrand za źródło ówczesnych napięć w polskim życiu politycznym i na arenie międzynarodowej uznaje „okrutną antypolską kampanię ze strony kręgów syjonistycznych” (tamże, 58).

Podobnie zdaniem T. Walichnowskiego wydarzenia marcowe wynikły z „inspiracji reakcyjnych elementów syjonistycznych i bankrutów politycznych” i doprowadziły do „licznych, nieodpowiedzialnych wystąpień antypartyjnych i antypaństwowych [...]”. Wydarzenia te spotkały się jednak ze zdecydowanym zdemaskowaniem i potępieniem prowodyrów syjonistycznych przez społeczeństwo polskie” (Walichnowski 1968, 27).

W opinii A. Romanowskiego kryzys na Bliskim Wschodzie postawił część obywateli polskich żydowskiego pochodzenia w „dwuznacznej sytuacji”. Ich sympatie polityczne były „wyraźnie określone i nie kryli swojego zadowolenia z sukcesu agresora izraelskiego”, a „dawali temu wyraz nie tylko w prywatnych rozmowach, jak i urządzając przyjęcia na cześć izraelskiego zwycięstwa nawet w miejscach swojej pracy” (Romanowski 1986, 17). Dla uwiarygodnienia stawianych tez przytacza słowa Gomułki, w których nazywa syjonistów „piątą kolumną Izraela” w Polsce, oraz ujawnia, że wśród „nielicznego co prawda”, ale „politycznie odgrywającego wielką rolę” środowiska działaczy partyjnych żydowskiego pochodzenia od dłuższego czasu narastały nastroje niechęci do partii” (tamże). Pisząc o rewizjonistach/syjonistach, Romanowski powiada, że „polityczni prominenci sprzed 56 roku, kiedy sami mieli władzę, głosili potrzebę stosowania rządów silnej ręki, a probowali bez zastrzeżeń politykę represji wobec przeciwników politycznych, godzili się z metodą społecznego napiętnowania [...]. Po 1956 roku nie pomijali żadnej okazji do [...] osłabienia pozycji socjalistycznej Polski na arenie międzynarodowej”. „Stalinowcy”, jak pisze, wychowywali młodzież, tworząc „ośrodki rewizjonistycznego drenażu mózgów [...] w kręgach akademickich, jak i w szkołach średnich” (Romanowski 1986, 18). Zdaniem Romanowskiego „sojusz rewizjonistów i syjonistów” zrodził się na gruncie „negacji i wrogości do systemu politycznego”, który ukształtował się w PRL-u po 1956 roku. Jego celem było wewnętrzne osłabienie Polski, a skutkiem działań destrukcyjnych – wywołanie poczucia zagrożenia: „przeświadczenia, że kierownictwo partii i rządu nie cieszy się poparciem społeczeństwa, że nie potrafi rozwiązać podstawowych problemów społeczno-gospodarczych kraju” (tamże, 36).

Wypowiadając się w podobnym tonie, T. Walichnowski dopowiada, że „syjoniści w porozumieniu z imperializmem” prowadzili „wybitnie antypolską propagandę”,

„oskarżano naród Polski o kolaborację z Niemcami hitlerowskimi, o antysemityzm, o prześladowania Żydów przed II wojną światową i w latach powojennych. [...] Zarówno opinia publiczna, jak i władze polskie zdecydowanie opowiedziały się przeciwko nasilaniu się w latach 1967-68 u obywateli polskich żydowskiego pochodzenia postaw nacjonalistycznych, wyrażających się w popieraniu agresorów izraelskich i rozpowszechnianiu syjonistycznych oszczerstw przeciw narodowi polskiemu” (Walichnowski 1986, 192). W innym miejscu dodaje, że kryzys ekonomiczny lat 1968-70, próbowały „wykorzystać w propagandzie antysocjalistycznej ośrodki dywersji ideologicznej na Zachodzie”, a najbardziej „agresywne stały się ośrodki syjonistyczne”, ściśle powiązane z Izraelem: „Imputowały Polakom rzekomo wrodzony antysemityzm, szerząc oszczerstwa pod adresem narodu polskiego, usiłowali doprowadzić społeczeństwo do stanu frustracji” (Walichnowski 1984, 272). Jego zdaniem próby te, choć nieudane, poprzez „poróżnienie studentów z partią i narodem” przynieść miały „umocnienie pozycji syjonizmu w kraju”. Przytacza przy tym fragmenty wystąpień polityków żydowskich, opublikowanych w prasie zachodniej, w których odczytuje wezwanie do „wszystkich Żydów na całym świecie, aby działali na rzecz ich wspólnej ojczyzny – Izraela”, co miało być potwierdzeniem tezy, że mniejszość żydowska to „syjoniści, szpiecy, agenci Izraela, który przez nich ingeruje w sprawy polskie” (Walichnowski 1968, 15-19; 27-28).

Po podobne argumenty sięga W. Ważniewski, kiedy relacjonując poparcie przez Polskę rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ z listopada 1967, domagającej się wycofania wojsk izraelskich z okupowanych terenów arabskich, stwierdza, że spowodowało to „otwarte wystąpienia rewizjonistów w Polsce, jednocześnie ujawniając ich syjonistyczne powiązania oraz rodowody” (Ważniewski 1982, 87). Z kolei „demaskując” cele i „autorów” wydarzeń marcowych, dostrzega, że „wystąpienia marcowe były od lat przygotowywane, a prawie gotowy ich scenariusz był opracowany już jesienią 1967 roku, głównie przez mózgi wyższego rzędu – część profesorów, rzekomych liberałów, wytrawnych graczy politycznych odsuniętych wcześniej od władzy” (tamże, 91). Niestety nie wiedziała o istnieniu owego scenariusza „studencka młodzież”, która uległa „manipulacji wrogich ośrodków” i zupełnie nieświadomie stała się aktorem zająć na uniwersytetach. Na szczęście „Trybuna Ludu» i partia ujawniła społeczeństwu i studentom, kto stoi za prowokacją” (Ważniewski 1982, 94) Głównymi „inspiratorami” zająć zostali okrzyczani przede wszystkim profesorowie UW, którzy – jak pisze Ważniewski – w latach czterdziestych i pięćdziesiątych pracowali w „aparacie znieprawdzonego terroru stalinowskiego”, a potem „skierowani do pracy naukowej na UW w celu umacniania pionu ideologicznego, zgodnie zaatakowali światowej sławy naukowców polskich”, pozbawiając ich możliwości prowadzenia wykładów, a „przy pomocy wybranych cytatów z prac Stalina obalali »burżuazyjną naukę« polską, [...] stali się monopolistami humanistki polskiej”. W rezultacie działań władzy, jak twierdzi Ważniewski, „główni nosiciele rewizjonizmu i syjonizmu zostali zdemaskowani”. Kiedy zaś „społeczeństwo dowiedziało się już ze środków masowego przekazu, kto stoi za tymi prowokacjami”, zrodził się „masowy ruch potępienia dla syjonistów, kierujących grupami zdeorientowanej młodzieży” (tamże, 94-95).

\*\*\*

Podsumowując, warto zauważyć, że w narracjach podejmujących się prób opisania i zrozumienia kryzysów w Polsce w okresie PRL, w tym także wydarzeń marcowych, możemy zidentyfikować dwa (podstawowe) rodzaje dyskursu. Pierwszy wprost posługuje się terminami girardowskiego fenomenu, a ofiary różnych form przemocy są w nich nazywane kozłami ofiarnymi, na które przenoszona jest agresja nagromadzona we wspólnocie w wyniku istniejącego kryzysu. W drugim natomiast, nazywając ofiarę kozłem ofiarnym, nadajemy im sens inny, niż oczekuje od nas autor: kozioł ofiarny jest w nich elementem struktury, a przez to nie może być równocześnie ich tematem.

Z interesującego nas punktu widzenia w tekstach prześladowczych – w naszym przypadku to dyskursy, w których kozioł ofiarny jest elementem struktury tekstu – szczególnie mocno obecne są dwa stereotypy, a więc stereotyp zbrodni odróżniającej (stereotyp oskarżycielski) oraz stereotyp znaków selekcji ofiarniczej, czyli cech odróżnienia. I choć na przestrzeni dziejów tracą swą siłę oddziaływania przedstawienia prześladowcze oraz zmieniają się tak rodzaje zbrodni, jak i specyficzne stygmaty ofiarnicze decydujące o wyborze ofiar, nie oznacza to jednak, że maleje liczba ofiar (kozłów ofiarnych), a gwałty i przemoc stają się mniej intensywne. Tak jak zbrodnie ciągle są zbrodniami przeciwko fundamentom kulturowego i społecznego porządku, prowadzącymi do degradacji/zniszczenia istniejących stosunków międzyludzkich i identyfikowane są jako źródło sytuacji kryzysowej, tak wśród znaków selekcji ofiarniczej ciągle aktualne pozostaje wskazane przez Girarda kryterium kulturowe (mniejszości narodowe), religijne (mniejszości religijne) i czysto fizyczne (choroba, kalectwo – karzeł reakcji). To za nimi kryją się postawy prześladowcze. W wymienionych wyżej egzemplifikacjach faktyczne ofiary oskarża się m.in. o stworzenie silnego ośrodka syjonistycznego, działania w interesie światowego Żydostwa, zbrodnie stalinowskie, syjonizm, prowokacje, wicherzenie, nienawiść do demokracji, kalanie niewinnie przelanej krwi, przy pomocy najnikczemniejszych zbrodni płamienie imienia Polski, wtrącanie kraju w odmęt anarchii, wojny domowej, poparcie finansowe i moralnie przez Londyn i Waszyngton, zorganizowanie i inspirowanie syjonistycznej ruchawki, okrutną antypolską kampanię, rewizjonistyczny drenaż mózgów, rozpowszechnianie syjonistycznych oszczerstw przeciw narodowi polskiemu. Natomiast wśród znaków selekcji ofiarniczej spotykamy m.in. stalinowców, syjonistów, rewizjonistów, wszelkiej maści liberałów, pogrobowców starego ustroju, sługusów imperializmu, Raczkiewiczów, Andersów, sługusów hitleryzmu, krwawych najmitów krwiożerczego kapitalizmu faszystowskiego. Znaki selekcji ofiarniczej – w momencie, kiedy używa się ich w kontekście szczególnego rodzaju zbitki pojęciowej opartej na stereotypach i uprzedzeniach – bardzo często stają się również zbrodniami. Stalinista to przecież nie tylko zwolennik władzy/rządów Józefa Stalina, ale przede wszystkim „okrutny wykonawca zbrodniczych planów i prześladowań reżimu totalitarnego”. W tym sensie za używanymi w tego typu tekstach prześladowczych etykietami – syjoniści, Raczkiewiczze, Andersy – kryją się określone cechy, tak fizyczne (wystarczy spojrzeć na ich ówczesne karykatury, aby stwierdzić ich nieludzką wręcz powierzchność), jak i mentalne/charakterologiczne, odróżniające od „zdrowej, patriotycznej, przepełnionej umiłowaniem do ojczyzny i sprawujących w niej rządy większości społeczeństwa”. Etykiety przypisywane odpowiedzialnym za zbrodnie nie są jedynie nazwami własnymi, ale stają się identyfikatorami, które wskazują nie

tylko winnych, ale i popełniane przez nich akty przeciw tradycji/kulturze/cywilizacji/społeczeństwu/Polsce.

Strach, potęgowany poczuciem niepewności, sprzyja poszukiwaniu nieskomplikowanych wyjaśnień i rozwiązań. W takiej sytuacji władza/jej instytucje, dostarczając prostych odpowiedzi na pytania o przyczyny kryzysów (realnych i wykreowanych) i wskazując winnych, nie tylko nadaje światu/rzeczywistości/przeszłości określone, zgodne z jej potrzebami sensy i znaczenia, legitymizując i usprawiedliwiając swoje działania, ale jednocześnie kanalizuje aktywność społeczeństwa w pożądanym przez siebie kierunku. I nie będzie to odkrywczą tezą, że najłatwiejszą drogą wyjaśnienia (czasem niezrozumiałych i skomplikowanych w swojej genezie) kryzysów jest sięgnięcie po sprawdzone na przestrzeni dziejów rozwiązania, oferujące takie narzędzia i procedury, które dostarczają nie tylko jasnych i precyzyjnych (bo z pozoru konkretnych) wyjaśnień, ale także mobilizują społeczeństwo/grupy społeczne do podejmowania określonych działań czy przyjmowania właściwych z punktu widzenia postaw. Dostrzec w tym możemy nie tylko uniwersalną /ponadkulturową – w zrozumiałym sposób opisującą świat/rzeczywistość/przeszłość – procedurę poznawczą, polegającą w tym przypadku na oswojaniu/porządkowaniu świata/rzeczywistości/dziejów poprzez nadanie mu/im dychotomicznej struktury, ale także narzędzie zarządzania społeczeństwem (regeneracja/integracja/mobilizacja).

Podsumowując: prawdy i wyjaśnienia, które kryją się za tego rodzaju dyskursem, wypaczają obraz/obrazy przeszłości, a jego struktura jest determinowana koniecznością dostarczenia jednoznacznego, pozbawionego alternatyw obrazu „świata”, w którym nie ma miejsca na wątpliwości i pytania. Zadaniu temu podporządkowane są poszczególne elementy narracji, a jej wartość, podobnie jak wartość obecnych w niej wyjaśnień, potwierdzają szczególnego rodzaju referencje właściwie dobranych autorytetów. Dyskurs tego typu zmusza do emocjonalnego odbioru, a kryjące się za nim (takie, a nie inne) założenia natury aksjologicznej służą uprawomocnieniu opartego na nich obrazu świata/przeszłości.

### **Przypisy:**

\* W tekście wykorzystuję fragmenty artykułu: M. Woźniak, *Obcy/Inny jako wróg – mechanizm kozła ofiarnego jako narzędzie wyjaśniania*, który wkrótce ukaże się w pracy zbiorowej *Inny-obcy*, pod redakcją M. Karwatowskiej, R. Litwińskiego oraz A. Siwca.

### **Bibliografia:**

Czubiński A. (1987), *Najnowsze dzieje Polski*, Warszawa.  
Eisler J. (1991), *Marzec 1968. Geneza. Przebieg. Konsekwencje*, Warszawa.  
Eisler J. (2006), *Polski rok 1968*, Warszawa.  
Girard R. (1987), *Kozioł ofiarny*, Łódź.  
Hillebrandt B. (1986), *Marzec '68*, Warszawa.  
Kersten K. (1992), *Polacy. Żydzi. Komuniści*, Warszawa.  
Kąkol K. (1968), *Pytania i odpowiedzi*, Warszawa.  
Mazur M. (2004), *Polityczne kampanie prasowe w okresie rządów Władysława Gomułki*, Lublin.



Oseka P. (1999), *Syjniści, inspiratorzy, wichrzyciele. Obraz wroga w propagandzie Marca 1968*, Warszawa.

Oseka P (2008), *Marzec '68*, Kraków.

Paczkowski A. (1995), *Pół wieku dziejów Polski*, Warszawa.

Romanowski A. (1986), *Marzec '68*, Warszawa.

Walichnowski T. (1968), *Izrael, NRF a Polska*, Warszawa.

Walichnowski T. (1986), *Kryzysy i konflikty społeczno-polityczne w Polsce*, Warszawa.

Walichnowski T. (red.) (1984), *Z dziejów politycznych Polski*, Warszawa.

Ważniewski W. (1982), *Problemy rozwoju Polski Ludowej*, Warszawa.

Korekta językowa: Anna Bartoś

---

## Marzec '68 Leopolda Ungera



**AGATA FIJUTH-DUDEK**

### **Marzec '68 Leopolda Ungera**

W styczniu 1969 roku rodzina Leopolda Ungera spakowała m.in. lichtarzyk

mosiężny, serdak barani, 4 nożyki do owoców, fotel wyściełany, adapter „Novak” i rysunki dziecięce. Jako bezpaństwowcy wyjechali, bez możliwości powrotu, do Belgii. Rozpocząć życie od nowa.

Właśnie mija okrągła rocznica wydarzeń marcowych w Polsce, które na zawsze zmieniły losy tysięcy polskich obywateli. Tak było również w przypadku Leopolda Ungera, dziennikarza najpierw PAP i „Życia Warszawy”, później wybitnego publicysty paryskiej „Kultury”, Radia Wolna Europa, „Le Soir” oraz „Gazety Wyborczej”.

Leopold Unger urodził się 12 sierpnia 1922 roku we Lwowie. Oboje rodzice pochodzili z ubogich rodzin galicyjskich Żydów i zginęli rozstrzelani w obozie janowskim założonym nieopodal lwowskiego getta. Tuż po wybuchu II wojny światowej 17-letni wówczas Leopold wyjechał, wraz ze swoim bratem Leonem, do Rumunii. Wkrótce jednak pozostał tam sam, ponieważ brat postanowił wrócić do Lwowa, gdzie zostali rodzice i żona. Na granicy polsko-rumuńskiej Leon został aresztowany przez NKWD i zesłany do gułagu. Potem, już z 2. Korpusem Polskim Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie dotarł do Tel Awiwu, aby następnie wziąć udział m.in. w bitwie pod Monte Cassino (1944) i Bolonią (1945), w trakcie której poległ. Został pochowany na cmentarzu w Loreto (Unger 2002, s. 20).

Unger wojnę spędził w Rumunii i tam, jako jeden z nielicznych Żydów, skończył studia. Oprócz nauki udzielał się w bukaresztańskim Domu Polskim – miejscu, gdzie koncentrowało się życie kulturalne Polaków. Dzięki przyjaźni z Joanną Burhardt-Bukacką, zwaną Bubą, pasierbicą przebywającego na internowaniu w Rumunii Józefa Becka, Leopold poznał środowisko polskiego ministra spraw zagranicznych. Kiedy dosięgły go antysemityczne ataki na uczelni i w Domu Polskim, został przygarnięty przez Becków i zamieszkał z nimi w willi rumuńskiego dygnitarza. O rosnących w Bukareszcie nastrojach antysemitycznych londyńskich „Wiadomościach” napisała po wojnie Jadwiga Beckowa, żona Józefa Becka, ukrywając Ungera pod imieniem Pol („Wiadomości”, 1966). Wspominała Wigilię 1943 roku, na którą zostali zaproszeni m.in. studenci, znajomi córki Buby. Ku zaskoczeniu wszystkich w ostatniej chwili odwołali wizytę bez podania przyczyny. Po świętach wyjaśnili, że nie mogli zasiać do Wigilii z Żydem. Artykuł Beckowej został w 1986 roku przedrukowany w „Zeszytach Historycznych” paryskiej „Kultury” („Zeszyty Historyczne”, 1986).

Po zakończeniu wojny Unger przez kilka miesięcy był korespondentem Polskiej Agencji Prasowej w Bukareszcie. W 1948 roku wrócił do kraju i trafił do redakcji „Życia Warszawy”, najpierw jako depeszowiec, później sekretarz redakcji.

Pracę w „Życiu Warszawy” wspominał dobrze, tym bardziej, że pismo po 1956 roku próbowało wprowadzać świeżość w redagowaniu tekstów, wychodziło poza schematy doboru tematów oraz prowadziło rubryki kontaktów z czytelnikami, np. „Audiencje przez telefon” czy „Dziś telefon, jutro odpowiedź” (Unger 2002, s. 76). Przypominał we wspomnieniach, że właśnie w „Życiu Warszawy” został wydrukowany list domagający się zwolnienia z więzienia Mariana Spychalskiego i Władysława Gomułki. Charakteryzował gazetę połowy lat 50-tych: „»Życie Warszawy« jednak było bliżej ludzi niż inne gazety, kłamało mniej od innych (do czasu), mniej było w redakcji ochotników do pisania wszelkich paskudztw,

jakich domagała się partia i jej propaganda” (Unger 2002, s. 80).

A jednak i Unger poczuł grozę stalinizmu. Na początku lat 50-tych dorabiał, redagując wiadomości do dziennika centralnej redakcji Polskiego Radia dla zagranicy. Któregoś dnia w podziemiach radia, obok studia programu francuskojęzycznego, ktoś w pokoju obok prawdopodobnie dla żartu zaczął przeszkadzać Francuzom w odbieraniu audycji. Sprawa trafiła do dyrekcji radia, a stamtąd do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Unger, jako jedna z osób znajdujących się wówczas w piwnicach rozgłośni, był przesłuchiwany przez oficera UB, który usiłował go szantażować, zmuszał do wielokrotnego pisania życiorysu, a wreszcie do przyznania się do „winy”. Dziennikarz był podejrzany o „sabotaż”. W aktach MSW z 15 listopada 1957 r. znajduje się wzmianka: „[...] był zatrzymany dn. 9.XI.1951 r. pod zarzutem przeszkadzania w odbieraniu audycji francuskiej nadawanej drogą kablową z Paryża poprzez Pragę do Polskiego Radia. [...] Odpowiadał z wolnej stopy” (IPN BU 1268/12465). Dzięki znajomości z żoną Romana Werfla, redaktora naczelnego „Głosu Ludu”, a potem „Nowych Dróg”, prominentnego działacza partyjnego, wyszedł ze śledztwa bez szwanku. W 1956 roku umorzono je z „powodu braku znamion winy” (Unger 2002, s. 69). Unger wspominał, że nie wszyscy jego koledzy z radia oskarżeni w tej samej sprawie mieli tyle szczęścia: „inni [...] dostali zdrowo w kość, siedzieli, potracili posady, ktoś okazał się folksdojczem i pozostał po »oddzielnym śledztwie« na parę lat w więzieniu” (Unger 2002, s. 68). Po październikowej odwilży władza zaostrzyła kurs (Machcewicz 1993). W kręgach Komitetu Centralnego PZPR zaczęto mówić o zrobieniu z „Życia Warszawy” gazety organu KC. Pomysł nie został zrealizowany, na szczytach władzy zaś uznano, że jednym z głównych inspiratorów ruchu oporu w gazecie był właśnie Leopold Unger (Unger 2002, s. 124). Mimo tego w kwietniu 1962 roku dziennikarz został wysłany przez swoją redakcję na Kubę, skąd relacjonował tzw. kryzys kubański, moment krytyczny konfliktu między supermocarstwami powojennego świata, który spowodował realne zagrożenie atomową katastrofą.

Powrót do Warszawy w 1963 roku zapoczątkował ostatni okres pobytu Ungera w Polsce. Rok później został wytypowany do objęcia dziennikarskiej placówki w Paryżu. Ale jak sam wspomina, „już szedł Moczar i moczaryzacja” (Unger 2002, s. 168). W kwietniu 1965 roku powstał w MSW „Raport o wyrażenie zgody na wykorzystanie operacyjne w czasie pobytu we Francji dziennikarza Leopolda Ungera”, w którym znalazł się zarzut o jego „powiązaniach ze środowiskiem syjonistycznym”: „Oceniając ogólnie jego osobę, należy stwierdzić, że jest on na wysokim poziomie intelektualnym. Jest bardzo wścibski. Orientuje się zawsze we wszystkich plotkach krążących po Warszawie. Kręci się stale w środowiskach dziennikarskich i literackich o syjonistycznym i rewizjonistycznym zabarwieniu. Każdy artykuł czy też książka, względnie inne posunięcia wychodzące z tych kół, jest zawsze przyjmowane przez niego z uznaniem i sympatią” (IPN BU 001043/1015).

Wyjazd Ungera do Paryża nie doszedł do skutku, niemal w przededniu niespodziewanie cofnięto mu paszport. Według Ungera powodem były coraz silniejsze wpływy „moczarów” i nacjonalistycznego skrzydła partii. Nagle jako Żyd przestał być „właściwym” kandydatem na korespondenta zagranicznego „Życia Warszawy”. Natomiast w dokumentach Służby Bezpieczeństwa znajduje się donos z 29 kwietnia 1965 roku, a więc zaledwie kilka dni po zablokowaniu

wyjazdu, w którym tw. „Bogdan” informował: „Przed kilkoma dniami dowiedziałem się od pracownika »Życia Warszawy«, iż sekretarz redakcji Unger miał zamiar uciec do Francji pod pozorem wyjazdu służbowego. Przygotował on sobie dolary, wyprzedając co wartościowsze przedmioty. Jakoby chciał również wyłudzić od tow. Wieczorka z Urzędu Rady Ministrów talon na »Fiata« 1300” (IPN BU 001043/1015). W zachowanych dokumentach nie ma ani decyzji o zablokowaniu wyjazdu, ani jej uzasadnienia. Najbardziej prawdopodobne, że nasilający się wówczas w Polsce antysemityzm, a także donosy na Ungera zaważyły na decyzji uniemożliwiającej mu wyjazd do Francji. Nie wydaje się natomiast prawdopodobne, aby Unger planował wykorzystać pobyt w Paryżu do pozostania na stałe na Zachodzie. Miał ku temu okazje, wielokrotnie wyjeżdżając prywatnie do rodziny w Belgii, a w owym czasie jego pozycja zawodowa w Warszawie wydawała się mocna i dająca wiele profitów, na przykład mieszkanie. Sam Unger w swojej biografii wspominał, że o cofnięciu wyjazdu powiadomił go redaktor naczelny „Życia Warszawy” Henryk Korotyński, uzasadniając to posiadaniem rodziny za granicą, co według Ungera było tylko pretekstem. Dziennikarz uważał, że nie pojechał z powodu rosnącego wpływu Moczara i jego frakcji o nastawieniu antyżydowskim (Unger 2002, s. 169-172).

Od tego momentu Służba Bezpieczeństwa rozpoczęła inwigilację Leopolda Ungera. W zachowanych dokumentach z 1966 roku są informacje o zainteresowaniu się dziennikarzem przez Departament II, Wydział VII MSW (odpowiedzialnego za nadzór nad pracą kontrwywiadowczą wśród obywateli wyjeżdżających na Zachód i do krajów demokracji ludowej w celach służbowych i turystycznych oraz obywateli państw zachodnich przyjeżdżających w analogicznych celach do Polski, praca operacyjna wśród uczestników wycieczek wyjeżdżających z Polski do krajów socjalistycznych). Owo rozpracowanie Ungera miało związek z jego znajomością z Bernardem Marguerittem, francuskim korespondentem francuskiego pisma „Le Monde”, akredytowanym w Warszawie. Margueritte sympatyzował z polską opozycją antykomunistyczną, podczas wydarzeń marcowych w 1968 roku odegrał istotną rolę, informując światowe media o zatrzymaniach uczestników warszawskich protestów przez milicję. W 1971 roku został zmuszony przez ówczesne władze do opuszczenia Polski (IPN BU 001043/1015).

Do 1967 roku Unger pracował w sekretariacie „Życia Warszawy”. Wszystko się zmieniło, kiedy antysemickie nastroje zaczęły przybierać na sile. Wzmocnienie kampanii antysemickiej w Polsce nastąpiło po wystąpieniu Władysława Gomułki na VI Kongresie Związków Zawodowych z 19 czerwca 1967 r. Kilka dni wcześniej, tj. 12 czerwca 1967 r., zerwano stosunki dyplomatyczne z państwem Izrael (Osęka, Zaremba 1999, s. 205-240). We wrześniu 1967 roku, po 19 latach pracy, Unger niespodziewanie został zwolniony z redakcji „Życia Warszawy”. Zwolnił go redaktor naczelny gazety Henryk Korotyński jako powód, podając, że dziennikarz był „źródłem ideologicznego rozkładu zespołu” (Unger 2002, s. 177). Dziennikarz stracił pracę bezprawnie, w trybie natychmiastowym. W dokumentach MSW zachowała się opinia radcy prawnego, który jednoznacznie stwierdzał, że zwolnienie Ungera z pracy odbyło się z pogwałceniem ówczesnych przepisów prawa pracy, ponieważ m.in. nie dano stosownego okresu wypowiedzenia, nie określono proponowanego stanowiska oraz nowych warunków wynagrodzenia (IPN BU 001043/1015).

W materiałach Służby Bezpieczeństwa rzeczywiście można odnaleźć lakoniczną

notatkę, że Unger stracił pracę „za aktywną postawę syjonistyczną” (IPN BU 001043/1015). W biografii dziennikarz opisał okoliczności temu towarzyszące: „Przypuszczam, że znalazł się [Korotyński – A.F.D.] w położeniu dla niego i według niego bez wyjścia, jakiegoś ultimatum w KC, konieczności wyboru, sytuacji zagrożenia albo dla niego, albo dla redakcji, albo obu naraz” (Unger 2002, s. 178). Unger wspominał rozbitcie, żal i rozgoryczenie z powodu utraty pracy oraz sposobu, w jaki go potraktowano. Niedługo po tym pracę stracił również redaktor naczelny „Trybuny Ludu” Leon Kasman. Środowisko dziennikarskie zatem już jesienią 1967 roku zostało dotknięte antysemicką czystką, której społeczeństwo polskie doświadczyło w następnym roku. Ponieważ zwolnienie z pracy Leopolda Ungera było jednym z pierwszych tego typu, nie został bez pracy, ale przeniesiono go do redakcji „Dokumentacji Prasowej”, która zajmowała się opracowaniem informacji z prasy zagranicznej. Jednak problemy Ungerów narastały. Wiosną 1968 roku wyrzucono ze szkoły córkę Ungera – Monikę, 13-letnią uczennicę VII klasy, z powodu „wywyższania Żydów ponad inne narody”, a miesiąc później 15-letniego syna Marka wydalono dyscyplinarnie z kolonii letniej pod zarzutem „uprawiania propagandy... religijnej i namawiania kolegów do chodzenia do kościoła oraz do bojkotu akcji zbierania runa leśnego dla Wietnamu” (Unger 2002, s. 186).

Ungerowie postanowili opuścić Polskę, tym bardziej, że dziennikarz wkrótce stracił pracę również w redakcji „Dokumentacji Prasowej”. Rozpoczął się bardzo ciężki czas dla Ungerów. Dziennikarz wspominał, że wielu jego znajomych odsunęło się od niego, a on sam był śledzony („biała i czarna wołga”), a celem inwigilacji miało być zastraszenie (Unger 2002, s. 189). Wówczas zdecydowali się na emigrację. Wybór padł na Belgię, ponieważ mieli tam rodzinę. Unger rozpoczął próby uzyskania zgody na „tymczasowy” wyjazd do Belgii, ale z Biura Paszportów MSW nadchodziły odmowy. W dokumentach zachowało się nawet pismo żony – Matyldy Unger z 1968 roku skierowane do Biura Paszportów MSW w związku z odmową wydania zgody na 3-tygodniowy wyjazd rodzinny do Belgii: „Mój mąż od dnia 7 stycznia br. leży w Szpitalu Miejskim w Bielsku Białej po ciężkim zawale mięśnia sercowego, a transport jego do Warszawy możliwy będzie pod koniec lutego. Ze względu na jego stan zdrowia i nieobecność w domu pozwalam sobie w jego imieniu prosić o powtórne rozpatrzenie jego podania oraz złożyć dodatkowe informacje”. Dalej wyjaśniała, że rodzina w Belgii to jedyni krewni męża, nigdy nie spotkał się z odmową otrzymania paszportu, a za swoją pracę był wielokrotnie wyróżniany odznaczeniami państwowymi. „W związku z powyższym decyzję odmawiającą udzielenia zgody na wydanie paszportu mężowi mojemu uważam za niezrozumiałą, wielce krzywdzącą i tym boleśniejszą, że ze względu na jego stan zdrowia muszę ją przed nim zataić” (IPN BU 1268/12465).

W lipcu 1968 roku, jak wynika z dostępnych archiwaliów, polska Służba Bezpieczeństwa otrzymała informację o rzekomej współpracy Ungera z organizacjami syjonistycznymi, które miały działać na szkodę Polski. W notatce z 12 lipca 1968 roku można przeczytać, że organizacje syjonistyczne z Belgii uzgodniły plan kampanii antypolskiej, której celem będzie dyskredytacja czołowych przywódców państwa polskiego i będzie prowadzona w krajach zachodnich: „Ze źródeł agenturalnych w Belgii otrzymaliśmy następującą wiadomość: przedstawiciele 36 organizacji syjonistycznych z terenu Belgii obradujący pod przewodnictwem ambasadora Izraela w tym kraju

uzgodnili plan nowej kampanii antypolskiej, która rozpocznie się jesienią br. Kampania ta, mająca na celu dyskredytację czołowych przywódców wraz z tow. Gomułką, miałyby być prowadzona równoległe we wszystkich krajach zachodnich. Do tego potrzebny byłby im zdolny dziennikarz z Polski, który znał ówczesną atmosferę polityczną oraz różne »słabe strony« kierowniczych postaci kraju. Wybór miał paść na Leopolda Ungera, zwolnionego właśnie z redakcji »Życia Warszawy« za »aktywną postawę syjonistyczną« (IPN BU 1268/12465). Dalej oficer operacyjny informował, że w związku z zablokowaniem Ungerowi możliwości wyjazdu na Zachód „koła syjonistyczne” zaplanowały zorganizowanie jego ucieczki z Polski. „Wyjazd Leopolda Ungera z kraju jest niepożądany ze względu na znajomość szeregu spraw, których ujawnienie groziłoby dekonspiracją naszych pracowników kadrowych przebywających w Belgii. W celu uniemożliwienia mu ucieczki sugerować będziemy kołom syjonistycznym w Belgii, że jedyna realna w obecnej sytuacji droga /zablokowanie wyjazdów do Czechosłowacji/, prowadzi przez Budapeszt lub Sofię. Instrukcje w tej sprawie wysłano do rezydentury” (IPN BU 001043/1015).

Latem 1968 roku dziennikarzowi założono sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Neron”. Wiadomo, że był śledzony i prawdopodobnie podsłuchiwany. Zachowały się m.in. notatki informujące o wyjeździe Ungera z córką Moniką do leśniczówki w okolicach Bytowa, pismo w sprawie możliwości założenie podsłuchu pokojowego w mieszkaniu, donosy znajomych (IPN BU 001043/1015). W jednym z dokumentów znajduje się informacja, że Ungerowie byli nerwowo wykończeni i rozżaleni z powodu ciągłych odmów wydania im emigracyjnych paszportów. „Ungerowie posprzedawali różne domowe przedmioty i dosłownie siedzą spakowani na walizkach. Ich wypowiedzi sprowadzają się do zarzutu, iż władze polskie stosują politykę dyskryminacji rasowej /antysemityzm/” (IPN BU 001043/1015). Faktycznie, Unger w owym czasie był już bez pracy w „Dokumentacji Prasowej”, z której został zwolniony 31 lipca 1968 roku (IPN BU 1268/12465) i jak wspomina w biografii, całe dni spędzał w Czytelni Francuskiej, czytając dzienniki „Le Monde” i „Le Figaro” oraz francuskojęzyczną literaturę (Unger 2002, s. 189). W tym samym czasie został wyrzucony z partii (IPN BU 001043/1015).

Tymczasem w dokumentach MSW można odnaleźć informacje, że po kilkukrotnych odmowach wydania pozwolenia na opuszczenie kraju władze planowały się zgodzić na wyjazd, ale dopiero po V Zjeździe PZPR. Zachowała się odręczna notatka: „Wymagana jest decyzja polityczna. Sprawa będzie rozpatrywana w najbliższej przyszłości [...]. Wyjazd może nastąpić po V Zjeździe Partii, tj. na początku 1969 r.” (IPN BU 1268/12465). Mimo deklarowanej przez Gomułkę gotowości do wydawania paszportów emigracyjnych władze niechętnie zgadzały się na wyjazdy osób, które miały szeroką wiedzę na temat funkcjonowania państwa (wysocy funkcjonariusze partyjni, dyplomaci, dziennikarze). Być może Unger został do tej grupy zakwalifikowany z racji częstych wyjazdów zagranicznych, kontaktów z zagranicznymi dziennikarzami w Polsce czy wreszcie z powodu wysokiej pozycji zawodowej i dostępu do różnego rodzaju informacji.

V Zjazd partii miał zmienić sytuację polityczną kraju (zob. Albert 1995, s. 547-579). Jednym z jego punktów miało być odwołanie Mieczysława Moczara z funkcji szefa MSW i powołanie go na członka Biura Politycznego KC PZPR (Lesiakowski 1998, s. 362). Być może pozwolenie na emigrację Leopolda Ungera

Biuro Paszportowe chciało wydać po wykrystalizowaniu nowej sytuacji w kraju. Natomiast sam Unger w biografii twierdził, że zgodę wydano po interwencjach u Zenona Kliszki (Unger 2002, s. 190), wówczas wicemarszałka Sejmu i członka Biura Politycznego KC PZPR. Prawdopodobnie wszystkie te okoliczności sprawiły, że w grudniu 1968 roku Ungerowie otrzymali pozwolenie na wyjazd na stałe do Izraela. W lutym 1969 roku Ungerowie wyruszyli do Belgii, w której zostali (Unger 2002, s. 211).

Emigracja nie oznaczała końca zainteresowań polskich Służb Bezpieczeństwa Ungerem. W aktach MSW znajduje się notatka z czerwca 1969 roku ze spotkania z TW, który stwierdził, że Unger nosił się z zamiarem wyjazdu do USA, ponieważ nie był zadowolony z pracy w którymś z centrów prasoznawczych (IPN BU 001043/1015). Kilka miesięcy później Departament I MSW donosił, że Unger tworzył książkę „omawiającą w sposób oszczerczy stosunki panujące w Polsce. [...] przede wszystkim kierownictwo partyjno-rządowe. Według opinii środowisk syjonistycznych ma to być największa sensacja komunistyczna XX wieku” (IPN BU 001043/1015).

Rzeczywiście, w Intruzie Unger wspominał o pomysle, który się narodził tuż po przyjeździe do Belgii. Chciał napisać książkę o marcowych wydarzeniach w Polsce. Wysłał propozycję takiej publikacji m.in. do Konstantego Jeleńskiego, który dał mu kontakt do Jerzego Giedroycia, redaktora naczelnego paryskiej „Kultury”. Książka nigdy nie powstała, ale rozpoczęła się współpraca z Maisons-Laffitte, która przetrwała 30 lat (Unger 2002, s. 332-333).

Poruszający ślad początków emigracyjnego życia Ungerów można odnaleźć w noworocznych listach, które od 1969 roku do końca lat 80-tych wysyłali do przyjaciół z kraju i zagranicą. W pierwszym liście pisali: „Kiedyś, nie tak dawno, przed niecałym rokiem, wszystko było proste. Razem z wami, albo dosłownie, albo tuż obok, albo w Noc Sylwestrową, albo w pierwszy dzień roku, albo w ogóle przez telefon, spędzaliśmy ten dzień, składaliśmy sobie życzenia. Te życzenia były proste, wiadomo było, czego się pragnęło, czego pragnęli najbliżsi. W braku prawdziwej rodziny zastępowaliście nam rodzeństwo, naszym dzieciom – ciotki i wujków. I jak w rodzinie, wiedzieliśmy to, co trzeba o każdym, w dniach radości byliśmy razem, w dni trudne czy smutne – także. [...] Będzie ten list, taki jak nasz cały ubiegły rok: pomieszany, nerwowy, niespokojny i smutny, ale optymistyczny. Niech więc nikt się nie zdziwi niczym. [...] Dla wszystkich powinien ten list stać się po prostu znakiem życia od ludzi, którzy własnym doświadczeniem wołają o wadze przyjaźni, o niciach nie do przzerwania, o tym co łączy ponad granice, ponad czas, ponad krzywdę” (list do przyjaciół nr 1 z 30 grudnia 1969 r.). W liście można odnaleźć zapiski na temat pierwszych, trudnych momentów na obczyźnie, o rodzinie, dzięki której udało się zorganizować codzienność, o dzieciach, które dzięki belgijskim kuzynom nie zaznały izolacji. Dziennikarz pisał także o trudności znalezienia pracy w zawodzie i o nadziejach na drukowanie swoich tekstów w brukselskich redakcjach.

„Z tych psychicznie okropnych dni niewiele pozostało mi w pamięci” – przyznawał po latach (Unger 2002, s. 197). W 1970 roku w jednym z pierwszych artykułów wydrukowanych na Zachodzie pisał o tamtych wydarzeniach: „Społeczeństwo polskie pożegnało swych Żydów. Nie jest to pretensja, tylko stwierdzenie faktu. Przyczyny tej obojętności wymagają delikatnego

podejścia". Jednocześnie uważał po latach, że wydarzenia „marcowe” tak naprawdę uderzały również w Polaków: „W rzeczywistości kampania antysemityczna w Polsce przed wojną sześciodniową w czerwcu 1967 roku i po niej, a zwłaszcza po wydarzeniach w marcu 1968 roku, nie była sprawą samą w sobie. Był to zawsze fragment większej całości, specyficznym polski refleks faszyzacji życia społecznego, ustanowienia hegemonii policji nad partią i rządem, walki o pozycje w kierownictwie partii i państwa – walki, która objęła cały aparat ucisku i cały aparat partyjny i państwowy czysty etnicznie, polski w istocie. [...] Tak więc, mimo tragedii skazanych Żydów, w istocie chodziło nie tylko o ich los, ale o los wszystkich Polaków” (Unger 2002, s. 203). W 2002 roku, we wspomnieniach pisał: „Dziś Polska jest państwem demokratycznym, żadna czysta rasistowska nie jest, choćby z braku Żydów, możliwa, lekcja Marca '68 jest jednak nadal aktualna: cykl prześladowań zaczął się od Żydów, ale skończył na Polakach” (Unger 2002, s. 207).

### **Bibliografia:**

AIPN BU, sygn. 1268/12465.

AIPN BU, sygn. 001043/1015.

Albert A. (1995), *Najnowsza historia Polski 1914-1993*, t. 2, Warszawa.

Beckowa J. (1986), *Ostatnia Willia Józefa Becka*, „Zeszyty Historyczne”, nr 78.

Machcewicz P. (1993), *Polski rok 1956*, Warszawa.

Lesiakowski K. (1998), *Mieczysław Moczar „Mietek”. Biografia polityczna*, Warszawa.

Oseka P., Zaremba M. (1999), *Wojna po wojnie, czyli polskie reperkusje wojny sześciodniowej*, „Polska 1944/45-1989. Studia i materiały”, nr 4.

Unger L. (2002), *Intruz*, Warszawa.

Unger L., *List do przyjaciół nr 1*, 30 grudnia 1969 (prywatne zbiory autorki). „Wiadomości”, nr 1081, dn. 18-25.12.1966.

Korekta językowa: Anna Bartoś